Nr. 8. Lwów, Niedziela dnia 20. Lutego 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VII.

Wydawnictwo dziełek ludowych.

I. Ogłosiliśmy w jednym z ostatnich numerów pisma naszego odezwę komitetu, do wydawnictwa dziełek ludowych we Lwowie zawiązanego. Patrjotyczna gorliwość i ofiarność kilku obywateli, między którymi obok znanych młodych pracowników na niwie ojczystej znajdujemy nazwiska, licznemi już w narodzie zasługami poważne i poważane — wypełnia dotkliwą lukę w naszej pracy organicznej. Rzuciwszy się z większą niż dawniej gorliwością na pole oświaty ludu, kierujemy pracę całą ku temu, ażeby w gminach naszych były szkoły, aby każde dziecko mogło i musiało się uczyć, aby nauczyciel był dobry. Z wieloma walczyć tu trzeba trudnościami — a najważniejszą z nich są niezaprzeczenie ogromne wydatki, jakie kraj ponosić musi, ażeby do wyżej wytkniętego celu pewnym a szybkim zbliżać się krokiem. Gdy jednak ustawy dały władzom szkolnym sposób złamania tych trudności, normując ściśle kto i w jakim stosunku ma się do utrzymania szkoły przyczyniać, przeto sądzi wielu, jakoby rzeczą naszą było już tylko czuwać nad tem, jak władze te ustawy wykonują, zachęcać je do energicznej działalności, przychodzić im w pomoc gdzie tego będzie potrzeba. Sprawa szkół ludowych weszła na tory oficjalne, a społeczeństwo zapomniało o tem, że dla oświaty ludu jest jeszcze po za tą oficjalną sferą bardzo wiele do zrobienia, bo zaczyna się ona wprawdzie w szkole, ale się w szkole nie kończy. Jeżeli wyszedłszy ze szkoły będzie włościanin nasz zupełnie sam sobie pozostawiony, jeżeli nie znajdzie środków utrwalenia w swym umyśle a rozszerzenia zarazem tego szczupłego dość zakresu wiedzy, jaki mu szkoła ludowa dać może, wpływ dobroczynny szkoły zatrze się wkrótce, praca nauczyciela będzie zmarnowaną, grosz na szkołę łożony wyrzuconym będzie bezowocnie.

Nie należymy do tych jednostronnych wielbicieli zadrukowanego papieru, którzy w książce samej widzą jedyny środek szerzenia i wzmożenia oświaty. Owszem jesteśmy tego przekonania, że życie samo, całe otoczenie, instytucje publiczne, osobiste zetknięcie z ludźmi wykształconymi — to także bardzo dzielny środek dźwigania oświaty ludu. Gdyby nasza wiejska i miasteczkowa inteligencja zrozumieć to chciała, ile takiem osobistem zetkinęciem zdziałać można, jak potężny wpływ wywrzeć można na umysły włościan, gdy się raz ich zaufanie pozyska, ile światła rzucić można w te umysły obdarzone bardzo zdrowym choć niewykształconym rozsądkiem! Gdyby te z naszych stowarzyszeń, które z natury zadania swego mogą znaleść bliższe z ludem zetknięcie, jak n. p. rolnicze, chciały to zrozumieć, iż główna właśnie ich uwaga na lud się zwrócić powinna, i że wciągając jak największą liczbę włościan nie tylko materjalnie ich podnieść, ale też i we względzie oświaty ludu wiele — bardzo wiele zdziałać mogą! Gdyby ustawodawcy nasi zrozumieć to chcieli, że wszystkie instytucje publiczne mają nie tylko administracyjne, ale też i w wysokim stopniu edukacyjne zadanie, że zatem zamiast rozdzielać łączyć powinne, i nieoświeconych z wykształconymi w ciągłą wprowadzać styczność! Gdyby to zrozumiano, i gdyby w myśl tę postępowali wszyscy — oświata poczyniłaby tak szybkie postępy, że już następne pokolenie włościan zmieniłoby się nie do poznania.

Ale — obok tego wszystkiego konieczną jest książka, jako równie ważny i doniosły czynnik oświaty. W życiu społecznem tak się zawsze różne środki ku jednemu nakłaniają celowi, tak potężnie działa prawidło wielu przyczyn, mocą którego każdy pomyślny czy niepomyślny objaw jest zawsze wynikiem rezultującym z działania sił wielu, — iż chcąc jakikolwiek cel społeczny osiągnąć, trzeba nieustannie wszystkie czynniki mieć na oku, i żadnego nie zaniedbywać środka. Tak też i tutaj: Ani szkoła sama, ani życie samo, ani sama książka nie dadzą jeszcze wyniku tego, który oświatą ludu nazywamy, ale wszystko troje razem i to tak dalece, że zaniedbanie któregokolwiek z tych trzech czynników osłabia i paraliżuje działalność dwóch innych. Szkoła daje rudymenta oświaty. W krótkim przeciągu czasu, jaki jej działaniu wyznaczono, musi najprzód dać pierwszy środek nabycia wszelkiej wiedzy, t. j. naukę czytania, musi następnie z całego olbrzymiego obszaru wiedzy wybrać i udzielić to wszystko, co dla włościanina jako członka rodziny, gminy i narodu, jako dla rolnika i obywatela jest najpotrzebniejszem. W życiu, w zetknięciu z wykształconymi ludzi, w instytucjach publicznych, umysł jego odświeża się, wyrabia, zachwyca luźne wiadomości. Ale systematyczne, ciągłe rozwijanie tego, czego się w szkole nauczył, da mu ostatecznie tylko książka, bez niej też inne środki szerzenia oświaty będą bezskuteczne.

Książka wprowadzona do chaty naszego włościanina, ma także wielką doniosłość obyczajową, a to nietylko bezpośrednio, nie tylko samą swą treścią, ale i z innej ważnej bardzo przyczyny. Wyobraźmy sobie życie naszego ludu — w dzisiejszym jego stanie. Letnią porą, kiedy włościanin przez dzień cały zajęty jest pracą swego zawodu, a wieczorem razem ze słonkiem spać idzie, by z niem też razem wstać do pracy — jeszcze to życie jako tako jest znośnem. Ciężki trud — wynagradza mu uśmiech otaczającej go przyrody, dla której chłop nasz tyle ma zrozumienia i rozmiłowania — wynagradza mu nadzieja plonu. Ale gdy plon już zebrany — gdy się okazało, że największa część jego poszła na podatki i na lichwę — gdy myśl o przednowku trapić poczyna — gdy zarobku nie ma, a śniegi zasypały wioskę i chatę i od całego świata odgraniczyły — a! wyobraźcie sobie te długie zimowe wieczory, poczynające się około czwartej popołudniu, te wieczory nieraz bez światła, a pewnie zawsze bez książki spędzane! Wyobraźcie sobie tę okropną nudę, jaka ogarnąć musi umysł włościanina nie mającego w te wieczory żadnej umysłowej pociechy, żadnego zatrudnienia, żadnego pokarmu ducha, żadnej rozrywki. Ale — mylimy się; jest rozrywka: w karczmie! Dziwicie się pijaństwu ludu, narzekacie na nie, piorunujecie z ambony i z mownicy publicznej, suszycie sobie głowy nad tem, jakby mu zapobiedz, uchwa-

lacie ustawy przeciw pijaństwu, których wykonanie oddawać musicie w ręce tychże samych pijaków!

Dzisiaj — włościanin pić musi, mimo waszych kazań i mówek i ustaw — pić musi, bo nie ma innego lekarstwa na szaloną nudę swoich zimowych wieczorów i na robaka troski o chleb, który go toczy od przednowku do zbiorów i od zbiorów do przednowku. A z tej nudy, i z tej troski, i z tego lekarstwa jakie mu dziś na nie jedynie pozostało, wynika w koniecznem następstwie rozpusta i zbrodnia. Ale zapalcie w chacie jego naftową lampę, dajcie mu książkę do ręki, dajcie mu chęć czytania zaszczepioną w szkole, albo choćby przejętą od dziecka, które do szkoły chodzi — a pić nie będzie!

Powiadają, że nie ma dla kogo drukować dziełek ludowych, bo chłop czytać nie umie. Zaprowadźcie pierwej szkoły, a po dłuższym czasie będzie dla kogo ogłaszać ludowe dziełka. Zapatrywanie zupełnie mylne. Mamy właśnie pod ręką wykazy szkół ludowych z r. 1870. Liczyły one w Galicji 153.000 uczniów i uczennic. Z tego na miasta nie może wypaść więcej jak 50.000, zostaje 100.000 dzieci wiejskich, które w r. 1870 uczęszczały do szkół ludowych, które zatem do dzisiaj już je ukończyły. Gdyby szkoły były najgorsze, gdyby tylko połowa tych dzieci po ukończeniu szkoły umiała czytać i pisać, to już z tego jedynie wykazu mamy pewno 50.000 młodzieży wiejskiej, która czytać umie. A kontyngens ten wzrasta co roku, a jest jeszcze dość takich włościan, którzy z dawnych szkół jaką taką znajomość czytania wynieśli, a których dalsze wykształcenie jest tak bardzo zaniedbanem.

Z najżywszą więc radością witamy przedsięwzięcie komitetu wydawnictwa dziełek ludowych. A chociaż nazwiska członków jego dostateczną dają rękojmię, że wydawnictwo to będzie jak najlepiej prowadzonem — poczynimy w następnych artykułach niektóre uwagi co do kierunku ludowych wydawnictw, nie tyle dla użytku komitetu, jak raczej dla poparcia jego pracy.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

IX.

Dyplomatyczne plany pana Artura dojrzewały nadzwyczaj szybko i zupełnie po jego myśli.

Kwit z opłaconego podatku i rewizje odbyte w Łaszczyńcach zużytkowane zostały jak najstaranniej według pierwotnie ułożonego i przez marszałka aprobowanego projektu. Podróż ojca a następnie syna do Kamieńca już się odbyła. Wiemy czego się dowiedział gubernator i co w skutek tego rozporządził. Wojewódzki naczelnik organizacji dowiedział się także różnych rzeczy od byłego kamerjunkra, o tajemnicach jakoby przez gubernatora wygadanych przed jego ojcem, i dowiedział się oraz że były kamerjunkier jest jeszcze w posiadaniu tajemnic, które tylko najwyższym kierownikom powstania powierzone być mogą.

Wiadomości te zrobiły na nim spodziewane wrażenie. Sam zaproponował panu Arturowi to co pan Artur jemu zamierzał proponować.

— Wypadałoby zatem — rzekł — żebyś pan jak najprędzej pojechał do Warszawy.

— Uczynię to z największą chęcią — odpowiedział ex-kamerjunkier — nie będę szczędził kosztów ani fatygi, ani narażenia się osobistego, bo przyznasz pan że podróżować tak daleko w tych czasach, jest niemałem narażeniem się osobistem, tylko...

— Tylko co?

— Gdzież się obrócę przyjechawszy do stolicy?

— Oh! to rzecz najłatwiejsza — odpowiedział wojewoda powstańczy — dam panu zaraz kartkę, która wszystko ułatwi.

Poszedł do biórka i napisał szybko kilka wyrazów, które oddał byłemu kamerjunkrowi.

— Kartki tej nie potrzebujesz się pan obawiać, możesz ją mieć przy sobie w podróży w pugilaresie zupełnie jawnie. Jest to najniewinniejsza recepta na katar, napisana według wszelkich prawideł fermacji i podpisana przez doktora, którego nazwisko jest tak nieczytelne, że gdyby pana zapytano kto ją pisał, możesz śmiało powiedzieć pierwsze lepsze nazwisko praktykującego lekarza, jakie ci się na myśl nasunie. Wiadomo że doktorzy bazgrzą zwykle jak kury, ten podpis do każdego jest podobny, a przytem nikt nie będzie tak podejrzliwy, żeby się w tej recepcie mógł czegoś szczególnego domyślać. W każdej aptece wydanoby za tą karteczką lekarstwo panu i każdemu ktoby z nią przyszedł. Jeżeli jednak pójdziesz pan z tą receptą w Warszawie do apteki na Nowym świecie, w bliskości ulicy Swiętokrzyskiej i powiesz że to „dla pana Witolda,“ to się pana spytają gdzie pan mieszkasz i przyrzekną lekarstwo odesłać do domu. Pójdziesz pan zatem do hotelu i będziesz czekał, a tam już zgłosi się do pana ktoś taki co pana dalej skomunikuje.

— Któż jest ten „pan Witold“ — zapytał były kamerjunkier — zapewne naczelnik Rządu narodowego?...

— Oh! naczelnik!... — uśmiechnął się wojewódzki — nie byłoby to tak ostrożne, przyznasz pan, przedewszystkiem wyjawiać imię naczelnika... Z naczelnikiem Rządu może pan będziesz mówił nie wiedząc kim on jest i kto to jest, jeżeli w ogóle z nim mówić będziesz, tak jak mówisz pan ze mną nie wiedząc czy ja niezawodnie jestem tą osobą, której powierzono stanowisko naczelnika wojewódzkiego, czy też tylko z jego polecenia zastępuję go dla pana i nie wiedząc kto rzeczywiście jestem. W działaniu konspiracyjnem takie ostrożności są konieczne, ale dla pana ta rzecz obojętną być powinna i musi. Ja panu ręczę że tą drogą wiadomości, które masz zakomunikować dojdą do rąk właściwych. „Pan Witold,“ to jest tylko hasło, to „Sezamie otwórz się“ z *Tysiąca nocy*. Gdyby istniał jakikolwiek pan Witold inne imię obranoby za hasło.

Objaśnienia te, jakkolwiek bardzo szczegółowe niezupełnie zdawały się wystarczać panu Arturowi.

— Mówisz pan — zauważył — że tą drogą cobym ja miał do zakomunikowania dojdzie do Rządu narodowego, zachodzi teraz pytanie, czy ta sama droga jest dostateczną, ażeby to co Rząd narodowy mógłby mi mieć do zakomunikowania doszło do mnie.

— A! panie — roześmiał się naczelnik — gdyby panu Rząd narodowy miał co zakomunikować, toby do tego nie był potrzebny nawet żaden imaginacyjny pan Witold. Od tego są drogi inne i najzupełniej pewne. W każdym razie jedź pan śmiało, kartka którą panu daję niczem pana skompromitować nie może.

— Sposób to jest zręczny w istocie — rzekł pan Artur — i nienarażający nikogo. Wyznaję, że to jest mistrzowsko urządzone i wszelkie warunki ostrożności zachowane jak najlepiej.

Chwalił, lecz nie był kontent z tego tak mądrego sposobu. Ta zbyteczna ostrożność nie w smak mu poszła. Pewny swego stanowiska i zaufania jakie miał u władz moskiewskich, byłby był wolał, żeby mu dano coś mniej bezpiecznego może, ale jaśniejszego, coś takiego coby można było tu i owdzie gdzie to bez narażenia się wykonać by się dało, zaprodukować na dowód, że służy rządowi tajemniczemu i jego zaufaniem się cieszy.

Niestety, marzyć o uzyskaniu czegoś podobnego nie było można, trzeba więc było poprzestać i na tem co dawano, oraz na tak zwanym paszporcie narodowym, to jest na karteczce mało co większej od dłoni, mniejszej od czwartej części arkusza listowego papieru, zaopatrzonej pieczątką i wyrażającej, że obywatel Artur Szóstacki udaje się w podróż do Warszawy za wiedzą i dozwoleniem władz narodowych.

Zaopatrzony w te dwa dokumenta pan Artur nie tracił czasu. Pokończył szybko przygotowania do podróży i bezwłocznie wybrał się w drogę, nasłuchawszy się do syta pochwał i wyrazów uznania od swego rodzica, że tak zgrabnie, zręcznie i skutecznie wziął się do rzeczy.

Był tak pewnym, że prosto z Warszawy będzie zniewolonym udać się do misji dyplomatycznej za granicę, że się już jednocześnie przygotował i do tej podroży, oraz zaopatrzył w potrzebne do niej dokumenta urzędowe od władz moskiewskich.

Ponieważ sieć kolei żelaznych istniejąca obecnie w państwie moskiewskiem rozwinęła się dopiero po roku 1863, trzeba więc było drogę odbywać końmi.

Pan Artur wybrał się własnym, wygodnym, doskonale do długiej drogi urządzonym, powozem. Częśc drogi do głównego traktu miał odbyć własnemi końmi, dalej zaś końmi pocztowemi.

Aż do chwili wstąpienia na stopień powozu, był najlepszej myśli i nie doznawał najmniejszych obaw co do rezultatu swej podróży.

Ale „chłop strzela pan Bóg kule nosi“ przysłowie to sprawdzić się miało i tym razem, chociaż tu wcale nie chodziło o jakiegoś tam chłopa, tylko o świetnego młodzieńca którego dziad był szambelanem, ojciec na-

czelnikiem powiatowym i kawalerem krzyża miechowskiego, o dziedzica *in spe* nietylko Fradowiec, Łaszczyniec, Małej i Wielkiej Woli, Podleśnik, Berezówki, Władkowiec, Zarzeczki, Aleksandrówki itd. itd., ale także tworzącego *en ctave* w tych wszystkich posiadłościach Zaskala.

Dla dogodności noclegów, których kilka w drodze odbyć potrzeba było, ażeby przyszły dyplomata nie przybył do Warszawy zbyt znużony, ale z pogodnym i świeżym umysłem, wypadło puścić się w drogę po nocy aby samego rana stanąć w Gradowcach. Wyjazd w nocy jest w ogóle jednym z najpewniejszych sposobów zapobieżenia, żeby baba z wiadrami drogi nie przeszła, albo żeby jej zając nie przebiegł, ponieważ w ogóle zające w nocy śpią, a baby, choćby nawet nie spały, nie mają zwyczaju chodzić po wodę. Zbytecznem byłoby dodawać, że pan Artur wyjazd na noc ułożył, dlatego aby złych prognostków uniknąć. Nie — młody pan Szóstacki był człowiekiem wyższym nad przesądy i może nawet nie wiedział o tem, że są ludzie tak śmieszni, którzy przypuszczają, że konwie w ręku kobiety, lub kilka pomknięć zająca mogą wywrzeć bardzo fatalny wpływ na ich losy.

Był człowiekiem wyższym nad przesądy, a jednak gdy sam został w zamkniętym i wygodnym powozie, jakaś niczem nieusprawiedliwiona zdjęła go trwoga.

— No puściłeś się w awantury, panie Arturze! — mówił do siebie — patrz teraz żebyś wyszedł z nich cało. Kto wie co się z człowiekiem w drodze stać może. Daję słowo, dałbym z ochotą tysiąc rubli, żebym już raz był za granicą... Ale cóż robić?...

Ułożonem było, że pan Artur w drodze do Gradowiec spać będzie, ale sen bujał jak ptaszę gdzieś pod niebem, a na powiekach marszałkowskiego syna osiąść nie chciał.

I na niby się nie zdało, gdyby był osiadł, gdyż spłoszonoby go niedługo.

Droga do Gradowiec była tej nocy nad ranem niezwyczajnie jakoś ruchliwą, a ci którzy z niej korzystali, po największej części konni jeźdźcy, byli niezwykle ciekawi.

Od czasu do czasu powóz pana Szóstackiego wymijały gromadki jezdnych, a żadna z takich gromadek, zwykle z kilku tylko ludzi złożonych, nie zaniedbywała zapytywać:

— Kto jedzie?

Woźnica odpowiadał, jeźdźcy szybkim kłusem śpieszyli dalej ku Gradowcom.

— Co to za jedni? — zapytywał wówczas pan Artur woźnicy.

— *Bih znaje!* — odpowiadał woźnica zacinając konie.

Ten ruch wróżący coś niezwyczajnego, nie podobał się byłemu kamerjunkrowi.

— Tyle razy jeździłem tędy nocą, a nigdy nie bywało nic podobnego — mówił do siebie — w tem coś jest.

I wychylał się przez okno powozu, aby dostrzedz co to byli za jedni, ale mrok nocny był jeszcze zbyt gęsty, żeby to wyglądanie zdało się na co.

Byli już o półmilki od Gradowiec i zrobiło się widno. Za chwilę miało się ukazać słońce marcowe. Wiatr powiewał wiosenny, ciepły, pracując nad osuszeniem ziemi jeszcze wilgocią zimową przesiąkłej. Wiosnę czuć było w całym krajobrazie, ale pan Artur nie zachwycał się, ani dość zresztą jednostajnym krajobrazem podolskim, ani wiosną.

Wyglądał przez okienko powozu i ciągle wpatrywał się w punkt jeden.

W punkcie tym widać było znowu gromadkę jezdnych, tym razem liczniejszą, złożoną może z dziesięciu ludzi.

Gromadka ta z bocznej drożyny zbliżała się dość szybko do drogi którą jechał powóz pana Artura. Spotkanie się z nią wkrótce było nieuniknione.

— Dobrze że się raz przecie dowiem co to za ludzie — mówił do siebie młody pan Szóstacki.

Mówił tak, ale wolałby się z nimi nie spotykać. Czuł jakąś instynktową obawę, która zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy dojrzał, wyraźnie dojrzał, i przecierając oczy sprawdził, że się nie mylił, że owi konni jeźdźcy byli uzbrojeni.

W chwilę potem jezdni otoczyli powóz i okazało się że byli ciekawsi od innych.

— Stój! kto jedzie? — krzyknął jeden z nich.

Woźnica zatrzymał konie, panu Arturowi serce daleko mocniej niż zwykle bić zaczęło. Gdyby był tego objawu fizjologicznego świadomy i mógł się nad nim zastanawiać, byłby się przekonał, że i on nie był pozbawiony tego dwukomórkowego organu, który mu zresztą żadnych w życiu nie zwykł był sprawiać niepokojów.

— Artur Szóstacki — odpowiedział pytającemu.

— Dokąd? — zapytał człowiek zajmujący widocznie w gromadzie stanowisko dowódcy — i czy jest paszport narodowy, bo w przeciwnym razie mamy polecenie rewidować.

Były kamerjunkier nie spodziewał się wcale że mu świstek udzielony przez naczelnika wojewódzkiego tak prędko będzie potrzebnym i pożytecznym, miał go jednak na pogotowiu i bezwłocznie okazał pytającemu.

Po obejrzeniu papieru jezdni odstąpili od powozu, były kamerjunkier ochłonął. Odważył się nawet na zapytanie:

— Czy wolno wiedzieć co to znaczy?

— To znaczy — odpowiedział starszy z gromadki — że my jesteśmy „szpicą“ oddziału powstańczego, który ciągnie za nami o kilkaset kroków.

— A! więc tu powstanie już wybuchło?

— Jak widzicie, obywatelu. Nasz oddział ciągnie z Zahajpolszczyzny i ma się połączyć z innemi w Gradowcach.

— O! to Gradowce już są...

— W naszych rękach.

— Doskonale! — rzekł pan Artur — życzę szczęścia, niech żyje Polska!

Tak powiedział głośno, a po cicho pomyślał:

— Djabli nadali! spóźniłem się... To wszystko przez ojca, który mówił że nie ma się co spieszyć, i który wymyślił tę pogłoskę o zamierzonem nagromadzeniu wojska. Ci starzy zawsze mają niedorzeczne pomysły.

Czytelnicy którzy pamiętają jak się rzeczy miały, uznają zapewne, że pan Artur był trochę niesprawiedliwym względem swego rodzica. Autorstwo pomysłu o zamierzonem nagromadzeniu wojska jeżeli było niedorzecznem, to było co najmniej wspólną obu panów Szóstackich niedorzecznością. Mimo to syn wszystko w duchu zwalał na ojca, a sobie tylko miał do wyrzucenia, że się o dzień jeden nie pospieszył z wyjazdem.

„Szpica“ nie zatrzymywała się dłużej, lecz na komendę dowodzącego ruszyła naprzód, zostawiając powóz pana Artura na drodze.

Woźnica obejrzał się parę razy, jakby pytając czy pan każe jechać dalej, ale gdy pan był zatopiony w zadumie, więc z własnej inicjatywy cmoknął na konie, podniósłszy bicz w górę.

Ruch ten ocknął pana Artura.

— Czekaj! stój! jeszcze nie wiem gdzie pojedziemy — zawołał.

Były kamerjunkier rozmyślał.

Treścią jego rozmyślania było czy jechać naprzód czy też wracać.

Jechać naprzód źle. Nie wiadomo jaką przestrzeń ogarnęło już powstanie. Przejeżdżać przez terytorjum plagą wojny dotknięte, to wszystko jedno co przejeżdżać przez zapalony step. Ztąd płomień i ztąd płomień — mogą się zlać z sobą i zupełnie drogę zagrodzić. A o powrocie wówczas myśleć nie sposób, bywa i on zazwyczaj odcięty przez zlane w jedno morze płomienie.

Więc wracać do łaszczynieckiego pałacu.

Tak, ale wracać także nie dobrze. O paręset kroków za szpicą nadciąga oddział, za chwilę z bocznej drogi wkroczyć musi na drogę główną, spotkanie z nim nieuniknione. A któż może tym oddziałem dowodzić? Nikt inny tylko pan Bartłomiej, skoro oddział ciągnie z Zahajpolszczyzny, bo pan Bartłomiej w Zahajpolszczyźnie do wszelkiego zawadjactwa najpierwszy. Jakże się tu spotkać oko w oku z tym zawadjaką? Ten pan Bartłomiej już i w czasach spokojnych nie bał się nikogo i niczego. Nieraz się dawał głośno słyszeć po karczmach i jarmarkach, że jak przyjdzie do działania naprawdę to „czy tak czy siak panie bratku“ nawet marszałkowskiemu synowi nie przepuści, zabierze go do powstania, bodaj za kołnierz. Mógł syn marszałkowski być gorącym przed powstaniem, musi być gorącym i teraz, „jeśli ochłódł, to go rozgrzejemy, mospanku, a jeśli zbladł, to go weźmiemy z sobą, żeby się napowrót uczerwienił moskiewską krwią.“ Spotykać się z takim panem Bartłomiejem, stojącym na czele oddziału Zahajpolszczyków, nie mogło być panu Arturowi na rękę. Mógłby się oryginał rozzuchwalić i wykonać swoje pogróżki.

Więc ani naprzód ani w tył... cóż począć?

Spojrzał pan Artur w prawo i spojrzał w lewo.

W prawo na widnokręgu nie rysowało się z bliska nic. Ogromny łan podolski i nic więcej. Na lewo widać było wioskę.

W każdej innej okoliczności byłby pan Artur poznał tę wioskę natychmiast; zbyt dobrze była mu znaną, tym razem coś mu wzrok zaćmiewało.

— Co to za wieś? — spytał woźnicy.

Woźnica spojrzał i ramionami ruszył. Sądził że mu mylnie w uszach zadźwięczało pytanie, nie pojmował żeby pan marszałkowicz mógł pytać o to. Milczał.

*

— Co to za wieś? — powtórzył były kamerjunkier donośniej.

Woźnica miał ochotę się przeżegnać, odpowiedział jednak:

— Zaskale!

— Można ztąd zaraz skręcić w lewo?

— Można.

— No, to skręcaj. Jedziemy do Zaskala.

Pojechali. Ujechali może stację boczną drożyną. Pan Artur ciągle patrzył na drogę prowadzącą do Gradowiec po której szybko zdążało kilkudziesięciu jezdnych.

Gdy skręt prowadzący do Zaskala minęli i nikt za powozem nie zwrócił, pan Artur odetchnął.

— Jedź prędzej! — krzyknął na woźnicę.

W kwadrans potem jedynak pana marszałka wysiadał przed gankiem w Zaskalu.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI

STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił

Wincenty hr. Łoś.

(*Ciąg dalszy.*)

Ja prowadziłem sześć ogierów arabskich turkomańskich przepysznej piękności, z których stryj mój cztery sobie wybrał za owe 400 dukatów, które mi był przysłał; dwa zostały dla mnie, które w czasie rewolucji Kościuszki zabrali mi kozacy. Wracałem tedy tym samym koczem w Warszawie kupionym; Brońca już nie miałem w towarzystwie, bo był posłany kurjerem z depeszą o tej konferencji, która tak niepomyślnie poszła. Obróciliśmy trakt na Adrianopol, drugą stolicę państwa tureckiego o 18 mil odległą. A że Turcy pod ów czas nie mieli żadnego wyobrażenia o zaprzęgach, więc mój Sebastjan z postronków je zrobiwszy, sam czterma zbieranemi końmi powoził. Trzeciego dnia stanęliśmy w Adrianopolu. Mieliśmy dodanego urzędnika tureckiego, który aż do samej granicy miał nas odprowadzić. Miasto to jest wielkie, tak jak Stambuł, ulice ciasne, domy drewniane bez żadnej symetrji. Widziałem pałac Sułtana, bo czasem on tu na lato przyjeżdża, na kształt fortecy murem wysokim opasany. Pałac był pusty, stróż jeden miał od niego klucze. Chcieliśmy widzieć mieszkanie kobiet zwane Haremem, uprosiwszy więc i zapłaciwszy poszliśmy je oglądnąć. Gmach zewnątrz biedny i czarny; przeszedłszy jeden dziedziniec, ujrzeliśmy drzwi wchodowe tak małe jakby do pokoju prowadziły. Gmach cały bardzo podobny do klasztoru; kurytarze na około, pokoje po kilka razem na dole i na górze. Sofy i zwierciadełka w każdym, okna wysokie i duże, ale szyby bardzo małe, przysłonione w dodatku żelaznemi kratami. Jeden salon na dole, w nim w około sofy, w środku marmurem wykładane płaskie wydrążenie, rodzaj bassenu, z którego wytryska fontanna; ogród wysokim murem obwiedziony; pełno w nim drzew różnego rodzaju i kwiatów, ścieżki proste i wąskie. Powróciwszy, nazajutrz rano puściliśmy się w dalszą podróż, a że już się zaczynają góry, bo przez Bałkany przeprawialiśmy się, więc zamiast koni dawano nam bawoły. Podróż nasza musiała być koniecznie wolniejsza. Szumlę i Ruszczuk przebyliśmy szczęśliwie, a przy przeprawie przez Dunaj rozłączyliśmy się z synami posła. Ci udali się do Wiednia, a ja do Jass, stolicy Wołoszczyzny. Miasto duże, brudne, jak wszystkie tureckie. Tam prezentowałem się jenerałowi komenderującemu i gubernatorowi wojennemu Bezborodko, który mnie przyjął z przesadną okazałością. Nieporuszeni jak statuy stali wszyscy jenerałowie i wyżsi oficerowie, a on sam wyszedł w bogato złotem haftowanym szlafroku, na którym dziewięć gwiazd świeciło. Właśnie trafiłem na pogrzeb sławnego Potemkina*); więc poszedłem odwidzieć dom, w którym było złożone jego ciało. Na wysoko ustawionym katafalku leżała mitra, kapelusz i szpada, w około stało 16 taboretów, na których wstęgi i gwiazdy leżały; 17 taboret był w głowach wywyższony, na nim złocista świeciła się mitra; oficerowie utrzymywali straż ze szpadą ku ziemi zwróconą. Potem zostałem zaproszony do hetmana Branickiego**) na objad, miasto to bowiem było miejscem narad towarzyszących założeniu konfederacji Targowickiej. Tryumwirat złożony ze Szczęsnego Potockiego, Wacława Rzewuskiego i Branickiego zatrudniał się tą ohydną sprawą, i tam został ułożony plan wejścia wojsk rossyjskich do Polski.

Na tym objedzie, oboje Braniccy rozmawiali ze mną wystawiając, jak popęd rewolucyjny sejmu jest szkodliwy dla Polski, że wojna wkrótce się rozpocznie, poczem nastąpi upadek kraju. Sama odprowadziwszy mnie do okna, zaczęła wysławiać, ile Polacy stracili przez śmierć jej wuja, Potemkina, którego zamiarem było całą Kozaczyznę namówić, z wojskiem polskiem się złączyć i królem polskim się ogłosić. Dała mi nawet do zrozumienia, że ten projekt odkryty, był przyczyną przyspieszenia jego śmierci; jakoż gazety pod ów czas oznajmiły, iż kapłonem został otruty***).

W Mohilowie przebyłem Dniestr. Przyjechawszy do Warszawy zaledwie rzeczy moje w pałacu zniesione zostały, kiedy mnóstwo karet, a nawet z damami zajechało przed moją stancją. Rozumiałby kto, że to skwapliwa wizyta, aby mnie zobaczyć. Nie, był to rabunek na tytoń turecki, którego miałem wór znaczny i ledwie 10 funt. dla siebie ochroniłem. Nazajutrz król pazia przysłał, abym był u niego. O 11ej godzinie pojechałem. Rozmawiałem dość długo. Oświadczyłem, że widziałem zgromadzone korpusy wojska, i że głośno mówili, że idą do Polski. Odemnie się dopiero król dowiedział o tych przygotowaniach; dowodzi to jak Polacy zawsze spokojni nic nie wiedzą, co się dzieje za granicą i żadnych ostrożności nie przedsiębiorą. Później nagradzając, żem tę całą misję o swoim koszcie odbył, dał mi order św. Stanisława. Muszę tu nadmienić, że trzy lata podróż ta trwała, że najpiękniejszą garderobę miałem, że takie drogie ogiery sprowadziłem, bo jeden anatolski na miejscu kosztował 200 dukatów, a długów żadnych nie zrobiłem i cały wojaż kosztował matkę moją sześć tysięcy dukatów przez lat trzy, bo jeszcze żadnej własności oddzielnej nie miałem.

Sejm się dalej kontynuował. Ja wróciłem do matki. O mil 7 od niej mieszkał jej brat, a mój wuj, kasztelan Męciński w Żarkach. Tam poznałem żonę moją, córkę starosty Ostrzeszowskiego, i pokochałem ją od pierwszego widzenia. O układach intercyzy ani słyszeć nie chciałem, bom się z miłości ożenił. Powróciwszy z Warszawy na wieś zastałem sejmiki powiatowe, na których mnie nieprzytomnego obrali sędzią ziemiańskim i przez sześć miesięcy ten urząd sprawowałem w Chęcinach pod prezydencją podczaszego Dobieckiego i kolegów: Malczewskiego, Rakowskiego, Gosławskiego. Po weselu, odbytem w Krakowie, pojechaliśmy do Dukli, do ojca żony mojej. Wśród obchodów radośnych i zabaw ciągłych, jakie z okazji pobrania się naszego były urządzane, odbieram kurjera z Warszawy z ekspedycją donoszącą o powstaniu i nakazującą mi pod utratą obywatelstwa w ten moment wracać do kraju i w Kielcach odebrać dla siebie instrukcję. Chciano mnie koniecznie zatrzymać, przewidując smutny i niepodobny koniec rewolucji, ale ja wśród krzyku sprzeciwiających się memu wyjazdowi powiedziałem, że chociażbym wiedział, że za kilka dni rewolucja się skończy, na jednę nawet godzinę plamy w opinji publicznej mieć nie chcę, i żonę zostawiwszy przy ojcu w samym zapale miłości i zabaw, w czwartem miesiącu pobrania się naszego porzuciłem Duklę. Już kozaki po całym kraju się pokazywali napadając i pomimo największej ostrożności, jadąc tylko bryczką i nocą, w lesie koło św. Katarzyny strzelano do mojej bryczki, ale nie zastanawiając się w momencie z lasu wyjechałem i tego dnia stanąłem w Kielcach, gdzie zastałem nominację na jeneralnego ordonatora armji z rozkazem udania się do Sandomierza i tam urzędowania, gdyż już Krakowskie było pełne nieprzyjacielskiego wojska. Ledwie sześć niedziel w Sandomierzu siedząc co dzień fałszywemi wieściami straszony, jednego poranka słyszę strzały z pistoletów, bo żołnierzy w żadnem mieście nie było tylko straż municypalna z żydów i katolików złożona, a potem wpada wybladły mój służący wołając: Kozaki w rynku! Mieszkając za miastem w dworku niedaleko Wisły i mając moją parę koni na wszelki wypadek, skorzystałem z czasu, kiedy kozak zatrudnieni byli rabunkiem domów, kazałem coprędzej zaprządz do bryczki i nie przez ulicę, ale tyłami ogrodów dostałem się do promu, który był na moje rozkazy, i tym przepłynąłem do Chwałowic, komory austrjackiej. Tam zastałem z fajką w gębie, wzrostu wysokiego, pogranicznego komisarza (nie wymienię jego nazwiska) został potem Kreis-kapitanem, ale chociaż Polak przeszedł w grubiaństwie Austryjaka. Spytał mnie o paszport, który był z moim podpisem, bo jako Ordonator na całe województwo wydawałem paszporty; zaczął się tedy śmiać szydersko i rozwodzić nad głupstwem powstańców. Co się w krwi młodego dziać musiało, łatwo zgadnąć, rozsądek kazał jednak zamilczeć, a gdy wyjąłem 10 dukatów i położyłem je na stół, bo chciał żebym nazad wracał i żeby mnie landsdragon do

*) Grzegorz Potemkin, sławny i wszechwładny kochanek Katarzyny, przeszedł wszystkie godności wojskowe, dostał od niej tytuł hrabiowski, a w r. 1776 od Józefa II książęcy, kawaler wszystkich rossyjskich orderów i wielu europejskich, umarł jako dowódzca armji w wojnie tureckiej pod Jassami d. 5 października 1791 r. na rękach swej siostrzenicy hetmanowej Branickiej. O nim i o jego pogrzebie dokładne podaje wiadomości jenerał Engelhard w swoich pamiętnikach, Poznań, 1873.

**) Ksawery Branicki, później generał en chef rossyjski, bawił wówczas w Jassach z żoną swoją z domu Engelhardt, siostrzenicą Potemkina.

***) Szczegół ten jest bardzo ważny, tem więcej, że cała ta sprawa jakoteż śmierć Potemkina, nie są wyjaśnione, a nowsze źródła dowodzą, że Potemkin miał ten zamiar. Nieulega znów żadnej wątpliwości, że Branicka, powierniczka jego najskrytszych myśli najlepiej była poinformowaną. Patrz 32 przypisek p. Konstantego Podwysockiego do pamiętników jenerała Engelhardta.

Wisły odprowadził, gniew natychmiast ustał i paszport, który uważał za nieważny, podpisał. Pojechałem więc do Baranowa nad Wisłą, gdzie zastałem już moją żonę, która w niespokojności o mnie, chcąc być bliższą wiedzenia, co się ze mną dzieje, obrała mieszkanie w domu drewnianym, jeszcze nieukończonym, a innego próżnego nigdzie nie było. (C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień, włożyłem palmowy kapelusz na głowę, przywdziałem ubranie opierające się wszystkim cierniom i o godzinie oznaczonej udałem się do fabrykanta. Miałem, przyznam się, wielką ochotę nie brać z sobą służących, ale obawiałem się aby piękna Birmanka zobaczywszy mnie samego nie cofnęła przyrzeczenia.

Stary sługa domu stał na czatach, a zobaczywszy nas oznajmił nasze przybycie. Mąż i żona pospieszyli oboje na powitanie. Ładna birmanka, zamiast wczorajszej muślinowej sukienki przywdziała strój kosztowniejszy; jej *kabaya*, czyli przylegający kaftaniczek, uwydatniał piękne kształty, na nogach zaś miała rodzaj kaloszy z drewnianemi podeszwami. Uczesanie głowy zdradzało niezwykłą staranność; kwiatek umiejętnie a niby od niechcenia wetknięty we włosy, podnosił blask iskrzących oczów, i ożywiał brunatny koloryt twarzy. Z tem wszystkiem była mniej ożywiona niż wczoraj, uśmiech pociągający, który mię tak zachwycał, nie igrał na szkarłatnych ustach, i jakieś pomięszanie, czy trwożliwe przeczucie, ocieniło figlarny wyraz jej rysów.

Stary sługa miał nam towarzyszyć. Uzbroił się w *dah*, wziął silny kij do ręki, zwitek sznurów z kory palmowej, i zawiesił sobie rodzaj leciutkiej skrzyneczki wyrobu swego pana.

— Do widzenia, życzę szczęścia! — rzekł fabrykant — nie mogę zabawiać się dłużej z wami bo mi werniks przez ten czas gotów stężyć. — Temi słowy pożegnani puściliśmy się w drogę.

Minąwszy uprawiane pola, weszliśmy na łan zarosły dzikiemi ananasami. Stary sługa szedł przodem pomiędzy mojemi dwoma zuchami, a ja postępowałem za nimi usiłując zasłonić od promieni słonecznych moją piękną towarzyszkę, trzymając nad nią ciężką i niezgrabną parasolkę. Nie podałem jej ręki, gdyż było by to przeciwko zwyczajom krajowym.

Józef, mój tłmacz, był jak to wspomniałem murzynem z Malabaru i chociaż dobry chłopak, wyglądał jak wcielony szatan; Desiré, eksmajtek, nie cieszył się także powabną powierzchownością, a co do mnie byłem co najmniej podobnym do rozbójnika, z moją długą brodą, rewolwerem u pasa, strzelbą na ramieniu, i sztucerem przewieszonym przez plecy; jednem słowem wyglądałem jak prawdziwy pogromca tygrysów. W ten sposób przystrojonym trzem nieznajomym, z których jeden wcale gorące rzucał spojrzenia na piękną birmankę, fabrykant werniksu — proszę uwielbiać zuchwałą jego pewność — powierzył młodą kobietę pod jedyną opieką starego dziada. Żaden Europejczyk nie był by się odważył na taką stawkę.

Postępowałem w milczeniu obok mojej towarzyszki. Położenie zaczęło być drażliwe; władałem słabo językiem birmańskim, ale chociaż mój słownik był dosyć skąpy nie potrzebowałem tłumacza dla porozumienia się z piękną birmanką; kilka słów dopowiedzianych spojrzeniem, wymowa oczów były by mi przyszły w pomoc, ale młoda kobietą zbiła mię kompletnie z toru swoją poważną miną i spokojem. Można by prawie sądzić że się miała na baczności. Przezwyciężając w końcu dziwne zakłopotanie, i rzuciwszy na wiatr kilka zdań urywanych zapytałem nareszcie łamiąc lody:

— Jak pani na imię?

— Muy-Ma — odpowiedziała krótko.

— A więc Muy-Ma — ciągnąłem słodkim głosem — zdaje się, jak gdyby ta przechadzka była ci niemiłą... towarzyszysz mi niechętnie.

— Gdyby mi była bardzo niemiłą, nie byłabym tutaj. Mój mąż nie traktuje mnie jak niewolnicę. — A zresztą — dodała po chwili namysłu podnosząc na mnie swoje jasne spojrzenie — czemuż bym miała niechętnie towarzyszyć panu?

Oczy nasze spotkały się i Muy-Ma wyczytała z nich prawdopodobnie dokończenie mej myśli gdyż spuściła wzrok zarumieniona.

— Pomyliłem się w słowach — odrzekłem — chciałem tylko powiedzieć, że jest rzeczą niebezpieczną dla młodej i pięknej kobiety, znajdować się w samotnem ustroniu z człowiekiem, któremu ona się podoba, a którego zna zaledwie.

— U nas kobieta nie jest wystawiona na niebezpieczeństwo z honorowym człowiekiem — odpowiedziała tonem zdradzającem lekkie wzruszenie. — Nie jesteś pan złoczyńcą, nasz cesarz udzielił ci swej opieki, przywołuje cię na swój dwór, nakazał by dla pana wszyscy byli z uszanowaniem. A zresztą, jesteś żonaty, wasza religja niedozwala wam przecie poszukiwać innej kobiety.

— A do djabła! — pomyślałem — ta mała filutka wie więcej niżem sądził. Ha, idźmy dalej.

— Odpowiedź którą mi dała Muy-Ma — rzekłem — jest bardzo sprytna i zdumiewa mię prawdziwie od osoby tak młodej; załóżmy się, że nie masz więcej jak ośmnaście lat.

— Tak jest, nie mam nawet jak siedmnaście. Od trzech lat jestem zamężną, i mam już dwoje dzieci. Kocham mego męża bo mnie uszczęśliwia.

— Widocznie zasługujesz na to..... Mąż twój musi cię także kochać i czuć się szczęśliwym.....

— Staram się by tak było; ale panowie są trudniejsi do zadowolenia, więcej wymagający, więcej lekkomyślni niż kobiety.

— Mężowie to samo utrzymują ze swojej strony. Czy mają słuszność? Nie wiem.

— U was być może; z nami to co innego.

— Czy doprawdy?

Uśmiech jaki mię wczoraj oczarował, zaigrał na ustach młodej kobiety, i zmienił się w wyraz nieodgadnionej filuterji.

— Nie długo staniemy na miejscu — rzekła zmieniając tok mowy.

— Tak prędko! — zawołałem mimowolnie, gdyż przyznam się było mi przykro przerwać niedokończoną rozmowę.

Uśmiechnęła się powtórnie.

— Muy-Ma — ośmieliłem się wyrzec — musiałaś zauważać jak dalece mi się podobasz; a jednak poszłaś ze mną bez trwogi.

— Bez najmniejszej.

— I bez żadnego uczucia kokieterji, lub ciekawości? zapytałem.

Wlepiła we mnie spojrzenie głębokie, badawcze.

— Czyby w waszych stronach nie uczono kobiet ukrywać to, czego niepowinne powiedzieć?

— Eh! tego nie potrzeba ich uczyć; ale rozumiem cię — odrzekłem — i dajmy temu pokój. Przybierz twoją minkę filuterną Muy-Ma z którą ci tak do twarzy, a ja przyrzekam odrzucić niedorzeczne myśli, jeżeli mi chwilowo postały w głowie.

— Ach! pan miałeś jakieś myśli..... proszę, i to jakiego rodzaju?

— Nie zmuszaj mię do odpowiedzi Muy-Ma, gdyż inaczej musiałbym przekroczyć granicę, jaką sobie wytknąłem wbrew własnym chęciom, wierz mi...

— Posłuchaj mię pan — rzekła tonem uroczystym — udajesz się do Mandelay, gdzie napotkasz wiele kobiet pięknych i uprzejmych. One tam nie są jak w Bangun oswojone z lekkomyślnem postępowaniem cudzoziemców, i mogłyby wziąć rzecz na serjo. U nas małżeństwo jest po prawdzie tylko kontraktem sprzedaży, ale my możemy je rozerwać zwracając cenę kupna, jeżeli mamy powody do niezadowolenia z męża. Miłość u nas jest rzadko zabawką, dla tego też pogardzamy źle prowadzącą się kobietą. Powtarzam panu, nie staraj się podobać, bo jeżeli kochamy to kochamy na całe życie, a powodowane uczuciem umiemy śmierci zajrzeć w oczy. A to nie jest czego byś pan sobie życzył — nieprawdaż?

Wymawiając ostatniej słowa zwróciła się ku mnie, a czarne jej oczy usiłowały przeniknąć myśl moją do głębi serca.

— Dziękuje ci Muy-Ma — odrzekłem usuwając się od niej by uniknąć badawczego spojrzenia.

I tak zakończyła się rozmowa, której powabu niezdolny jestem odmalować: tych półsłówek, czarującej intonacji głosu, żywości ruchów, a szczególniej uroku przenikliwych spojrzeń.

— Widzisz pan tę plantację — rzekła wskazując palcem rozległe ogrodzenie — za chwilę będziesz pan mógł mścić się do woli na głuszcach.

Muy-Ma tryumfowała; moje zarozumienie było ukarane. Ale kobieta jest tak zmienna!

Weszliśmy do rodzaju rozległego parku, opasanego nieprzebitym murem z zieloności, i rozpoczęło się polowanie, a raczej niemiłosierna rzeź. Głuszce w południe spały spokojnie, rozsiadłe po drzewach chroniąc się od żaru słonecznego pod osłoną liści. Pierwsze strzały rzuciły alarm, a gdy dwa padły ofiarą reszta w mgnieniu oka opuściła swoje schronienia. Kwoki tylko pozostały bronić swoich jaj i piskląt, ku nim też zwróciliśmy się z wężem ułożonym do tego rodzaju polowania;*) braliśmy jaja i dobijali broniące swego potomstwa samice. Miałem dosyć tej zabijatyki i po czterech czy pięciu wzruszających walkach, prosiłem Muy-My byśmy zaprzestali strzelania do tych biednych matek; sprawiało mi ono bowiem wielką przykrość.

Wracając byłem o wiele spokojniejszy; wzruszenie jakiego doznawałem w bliskości Muy-

*) Opuszczamy opis węża i jego działalności, gdyż w kilka dni po wydaniu w Paryżu niniejszej podróży przytoczyliśmy ten ustęp między Rozmaitościami „Tygodnia."

My, rozproszyło się; widziałem ją patrzącą spokojnie na rzeź ptactwa, to mnie oziębiło. Lubię w kobietach wielką odwagę, albo niewieścią słabość charakteru, ale nieczułość mnie odstręcza. Może byłem trochę za surowy względem niej. Mogłem-że sądzić sprawiedliwie birmankę podług praw, któremi oceniamy europejską kobietę?

Zdobycz przyniesioną podzieliliśmy w domu fabrykanta. Mąż Muy-My dowiedziawszy się, że pojutrze rano odpływamy z Thsile-Mhyoo, i że gubernator w wilię naszego wyjazdu sprawia nam na pożegnanie wielki festyn, z koncertem, iluminacją, tańcami i sztucznemi ogniami, prosił mię o miejsca dla żony i siebie. Zaprosiłem ich by przyszli oboje na pokład naszej łodzi, i po kawie razem z nami udali się na festyn. Fabrykant wymówił się pilnem zajęciem przyjmując jednakże zaproszenie dla żony; sam miał się złączyć z nami dopiero wieczór. Człowiek ten, albo nie był zazdrośny, albo bardzo był pewnym swojej żony.

Wedle niektórych pisarzy, głuszec (z rodzaju *tetrao*) jest o jednę trzecią część większy od pawia. Twierdzenie to może by się dało zastosować w Europie porównując wyższego rzędu głuszca z pawiem gatunku pośledniego, zwanym *ostrogarz*, ale w Indjach pozagangesowych jest ono mylne; tam głuszec jest prawie tej samej wielkości co paw, i zdaje się tylko dla tego grubszy że jest mniej wysmukły.

Samica niech co chcą mówią, więcej jest zbliżona do naszej swojskiej kury, czerwono nakrapianej, niźli do kuropatwy, z którą różni się dobitnie opierzeniem zupełnie innego cieniu. Krępa i silna, przewyższa trochę objętością dużą kurę i jest przytem nadzwyczaj dzika i bojaźliwa, szczególnie gdy się niesie lub wodzi kurczęta; ale do tego stopnia dochodzi macierzyńska jej miłość, że dla odebrania jej jaj lub piskląt trzeba ją zabić, z taką zaciekłością i rozpaczą broni swego potomstwa.

Samiec smuklejszy, dłuższy, wyżej osadzony, nie jest jednak większy od samicy. Czarno ceglasty w Europie, nabiera w krajach wschodnich smug zielonawych, mieniących się złotem i szafirem, co jest wynikiem różnego pokarmu i wpływów klimatycznych. Paw, bażant i głuszec nieprzebywają nigdy razem, owszem unikają się nawet: można ich spotkać na przestrzeni niezbyt rozległej, a jednak w odmiennych warunkach. Paw przelatuje płaszczyzny gdzie się żywi ziarnkami i nasieniem: jemu potrzebne wysokie drzewa na krańcach lasu. Bażant, zamieszkuje zręby i chrusty, zkąd czasami wychodzi szukać pożywienia. Dla głuszca najmilsze zarośla, gęstwiny nieprzebyte i grunt osłonięty krzakami, zkąd rzadko się wydala, chyba pociągnięty ku plantacjom bananów. Paw i bażant dadzą się oswoić, głuszec jest dumniejszy i więcej niepodległy. Żyć wolnym lub umrzeć, oto jego hasło. Lubię za to tego szlachetnego ptaka.

Głuszec ma słuch nadzwyczaj bystry i sen lekki, co go zupełnie różni od pawia i bażanta. Inaczej jakżeby się mógł ustrzedz od węży i innych płazów, które z nim toczą nieustanną i zażartą wojnę? Głuszca żadną miarą nie można złapać, i mało jest ptaków tak dzikich i zwinnych a tak trudno dających się podejść. Ujęte podstępem w siatkę, samotrzask lub tym podobną zasadzkę szamocą się z taką zapalczywością i walczą dziobem tak zawzięcie, że dla dostania ich żywcem, trzeba ogłuszyć wymierzonym ciosem w głowę. W niewoli giną prędko, i nie widziałem żadnego by dłużej nad miesiąc wyżył w klatce. Ptaki te nigdy nie śpią w dzień na ziemi, a z nadchodzącą nocą udają się do miejsc niedostępnych, i nikt nie wie jak się tam zachowują.

W Indjach pozagangesowych, deszcze są ulewami i perjod burz poprzedza zimową porę. Zmiany te atmosferyczne nie przypadają jednocześnie na wszystkich punktach Indji, Indo-Chin i półwyspu Malajskiego. Rozpoczynają się i kończą kilka tygodni wcześniej lub później stosownie do położenia geograficznego danej miejscowości. Co się tyczy okolic położonych nad brzegami Irawady i rzek spływających do wspólnego koryta, od podnóża Himalajów aż do zatoki Martabanu, to jest od 28° do 16° stopnia szerokości północnej, pora burz nastaje z początkiem maja i kończy się w czerwcu trwając mniej więcej trzy do czterech tygodni. Co dzień wybuchają grzmoty, pioruny, po których deszcz strumieniami zlewa ziemię wysuszoną długą posuchą niezostawiając innych śladów nad szerokie wyrwy, zmieniające się wkrótce w wąwozy i głębokie przepaście. W czasie tym słońce ukazując się chwilami, sprowadza mgły szkodliwe, i powoduje zabijające wyziewy. Po krótkiej przerwie dni pogodnych, nadchodzą nieustające deszcze, i wszystkie katarakty nieba roztwierają się jednocześnie. Stan ten przedłuża się do trzech miesięcy — od połowy czerwca, przez lipiec i sierpień do połowy września — sprowadzając wylewy dobroczynne lub niszczące. od których zależy bogaty urodzaj albo klęska kraju. Pora zimowa trwa zatem blisko cztery miesiące, a że w czasie tym nie można wyjść za próg domu, nic nie wiem co się dzieje z głuszcami w perjodzie deszczów. Przez resztę miesięcy w roku, a szczególniej w wielkie upały głuszec usypia koło południa, siadając na gałęziach, takich z których by mu łatwo było wzlecić w chwili niebezpieczeństwa. Ludzie baczący jedynie na ilość zdobyczy, w tych godzinach wybierają się na polowanie, gdyż rano i wieczorem ptaki są płochliwe i zwinne nie do opisania. Są to właśnie chwile w których szukają pożywienia, lub oddają się miłosnym zalotom, i prawdziwi amatorowie w tej właśnie dobie puszczają się na zdobycz, używając prawdziwej przyjemności polowania. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Taka jest osnowa *Łużeckich*. Poetyczne rozwiązanie opowiedzianych zdarzeń, jakkolwiek w całości zgodne z dziejowem podaniem, jakże pod względem etycznym, moralnym, przejmujące swą treścią, jak nawet przerażające w pierwszym momencie! Jeżeli bowiem czytelnik wraz z poetą potępiał kasztelana i uczuwał sprawiedliwy wstręt do takich, którzy jak ów wódz z pod Czetwertynówki, bez prawdziwych zasług, fantazją tylko nadrabiają: to następnie, patrząc w szlachetną duszę bohatyrskiego obrońcy Budzanowa, spodziewać się mógł słusznie i oczekiwać tryumfu tak wysokiej obywatelskiej cnoty.

Ale głowa Tomasza Łużeckiego padła pod toporem kata!....

Więc poświęcenie podobnych jemu nie miałożby wydać na razie żadnych dla społeczeństwa owoców?... Krew serdeczna, przelana w imię najświętszej sprawy, byłażby owem nasieniem, z którego dopiero w późnych pokoleniach wyrastają mściciele krzywd doznanych?.... Nie! Chociażbyśmy nawet z przebiegu dziejów dobrze znali i żywo mieli w pamięci dalsze tych walk wypadki, to takie zamknięcie tej pieśni nie zadowalałoby przecież czytelnika. Poeta zrozumiał, że ten ponury horyzont rozświecić należy choćby tylko jednym błyskiem w lepszą przyszłość. Rzucił zatem na finał swego rapsodu ten pożądany jasny promień.

> Krwią zakipiały Chocimia równiny.
> Hetman Sobieski ubrał się w wawrzyny,
> Na polach boju pozostały sępy;
> On do dom powiódł waleczne zastępy....
> A Polska królem okrzyknęła Jana,
> By gromił Turka!

Tym sposobem poświęcenie Tomasza Łużeckiego nabiera prawdziwej wartości i okazuje w Rzeczypospolitej, jakkolwiek chwilowo stronnictwami rozdartej, potęgę wielkiej wagi w dziejach świata.

A teraz pozwolą czytelnicy, ażebyśmy nad rozpatrzonym w treści poematem uczynili parę uwag.

Nazwaliśmy *Łużeckich* rapsodem historycznym. Takim też swój utwór chciał mieć sam poeta, wskazując na to już owym przydatkiem: „*Ustęp z wojen tureckich*“, umieszczonym w tytule. Historyczności w najwłaściwszem tego słowa rozumieniu nikt też zaprzeczać nie będzie temu poematowi.

Chodzi teraz przedewszystkiem o to, ażebyśmy poznali, jak Romanowski w tym dziejowym rapsodzie skorzystał z danego historycznego materjału. Mniemamy, że dla rozświecenia tej kwestji najwłaściwszą rzeczą będzie przywieść tutaj owe momenta historyczne zawarte w źródłach dziejowych, które poeta — jak się nam zdaje — niewątpliwie musiał mieć przed oczyma.

Takiem źródłem dla poety, z którego czerpał, mogły być jedynie tylko roczniki historyczne Wespazyana Kochowskiego. Pisarz ten, żyjący właśnie w owych czasach, na których tle rozwija się nasze opowiadanie, był najzupełniej wiarygodnym i najlepszym świadkiem tych wszystkich zdarzeń, które Romanowski pomieścił w ramach swego obrazu. Roczniki historyczne, o których wspominamy, noszą tytuł *Klimakterów* i obejmują spółczesne Kochowskiemu wypadki, zaszłe między rokiem 1648 a 1673. W czwartej księdze tych dziejów Polski zawarty jest właśnie cały materjał historyczny *Łużeckich*.

Oto, co pisze Kochowski z powodu porażki Polaków pod Czetwertynówką.

„Po odejściu hetmanów z Ukrainy,*) dowództwo nad chorągwiami tamże pozostałemi otrzymał Karol Łużecki, kasztelan podlaski i starosta szmelsztyński, wielki gorączka i — jak nie przystało na wodza — nader porywczy. Miał on przy sobie trzynaście chorągwi — ale szeregi niezmiernie przerzedniały — i Marcina Kąckiego starosty przemyskiego pułk dragonji, zwany artylerją; miał też na doręczu kilka dział polowych i inne potrzeby artyleryjskie. Przybył też do niego Haneńko, wierny zwolennik Polski; z nim było 4000 Kozaków. Łużecki, złączywszy się z nimi, liczył przeszło 6000 wojska.“

---

*) Jana Sobieskiego i Dymitra Wiśniowieckiego.

„Wtem dano znać, iż horda rabując włóczy się po okolicznych siołach."

„Nasi tedy harcownicy puścili się na przednią straż tatarską: ciśnieni mnogością nieprzyjaciela, żwawo uderzyli na niego, a po jednogodzinnej walnej bitwie zgromili hordę. Wielu na placu położyli trupem, resztę spędziwszy z pola wegnali w nader bystrą rzekę. Niemałą pomoc przyniosła szczupłości naszych sama rzeka (Boh), oddzielająca nas od wroga; a jeśli się nie przyczyniła do zupełnej wygranej, to zapewne zasłonę by nam dała, byle jeno Polak przezorniejszym był niż popędliwym: lub gdyby Haneńki, niewstrzymany zapał zwycięzców zawściągającego, usłuchać zechciał Łużecki. Ten, pierwszem powodzeniem uniesiony, postanowił gonić Tatarów przez rzekę przepędzonych. Ani namową, ni żadną inną uwagą nie dał się nakłonić do zaniechania zamiaru swego, nie pojmując, iż zniósłszy Tatarów, lepszem jest swoich ocalić, niż wroga chcieć dobić. Takiemi racjami Haneńki jeszcze bardziej rozjątrzony Łużecki, przypomniał mu, że on przecie tu dowodzi i Kozakom rozkazał ruszyć za nim wpław przez rzekę. Haneńko posłuszny popędliwemu, skromnie odezwał się do niego:

— „Panie, każ mi tymczasem być stróżem tego brzegu, abyś, jeśli na tamtej stronie co sprawisz, miał kogo, coby poświadczył czyn twój świetny; lub, jeśli inaczej wypadnie, pospieszymy dzielić spólny z tobą los, jakikolwiek cię spotka."

„Niezwłocznie Haneńko w czworobok ustawiwszy wozy, pułk Kozaków w szyku bojowym wywiódł; a korzystając z dogodnego położenia miejsca, tymże samym pułkiem czoło taboru zasłania od napadu. Łużecki zaś, chciwy boju, wnet dotkliwie przypłacił zuchwalstwo swoje: byłby szczęśliwszym, gdyby był usłuchał rady Kozaka. Bo przepłynąwszy Boh, gdy konie zmęczyły się pływaniem, a ręczna broń palna zamoknąwszy zepsuła się, podwójnej podpory był pozbawiony, i tylko szablą lub dzidą mógł uderzyć na hordę. A lubo dzielnie bił Tatarzyna — jednakże, gdy Nuradyn licznemi tłumami swemi osaczając szczuplutką garstkę naszych, ze wszech stron przemocą cisnął ich, i padło wielu zacnych towarzyszów — niedobitki cofnąć się musieli aż do Bohu; a wprawieni w ucieczkę mieli znowu doświadczać owych wód, które co dopiero zwycięzcom odradzały przeprawy przez nie."

„Łużecki sam ledwo uszedł; zabitych lub wziętych w niewolę wielu. Także Wojciecha Raczkowskiego miecznika łęczyckiego, co go król przeznaczył na komisarza do Kozaków, porwali Tatarzy; a urzędnik królewski z Ukrainy poszedł by był do Krymu, gdyby nie wierny jego koniuszy, ubiwszy dwóch Tatarów i wyrwawszy go z rąk pohańców, podaniem mu konia nie ułatwił ucieczki. Poległ też Rożniatowski, waleczny chorąży z szesnastu towarzyszami w jednem miejscu zabitymi."

„Bardzo pożyteczną dla pobitych stała się przezorność Haneńki, który bacznem okiem pilnując bezpieczeństwa swoich, z bitwy cofającym się aż do taboru, uchronę tam upatrzył, pierzchających przyjmując w pośród wozów. Zebrawszy niedobitki, w zupełnym porządku z taborem nazad ruszył. Nieprzyjaciel z tyłu i z boków nacierał, ale go odpędzano strzelaniem z ręcznej broni i biciem z armat."

Tyle o tem Kochowski.*)

*) Zob. „Roczników Polski Klimakter czwarty. Z łacińskiego tłumaczenie polskie. Lipsk 1853." Str. 189—194.

Porównującemu osnowę pierwszego rapsodu *Łużeckich* z treścią historycznego podania, któreśmy dopiero przytoczyli, nie trudno będzie dostrzedz bardzo bliskiego pokrewieństwa poematu naszego w jego szczegółach z tem wszystkiem, co o tych wypadkach zanotował spółczesny dziejopis. Wszakże obok postaci podlaskiego kasztelana, który główną odgrywa rolę, grupują się tu i tam te same figury historyczne: Raczkowskiego, Rożniatowskiego i Haneńki. Typem wprowadzonym przez poetę jest jedynie ojciec Gaudenty, występujący w obu rapsodach, a w znaczniejszej roli i z obszerniejszym zakresem działania właśnie w pierwszej pieśni. Haneńko w opowiadaniu Kochowskiego zajmuje wprawdzie wybitniejsze miejsce, niż w poemacie Romanowskiego; z tem wszystkiem jednak nakreślił poeta tę postać wiernie podług zapisków powołanego historyka. Nawet taki szczegół, jak ów o oburzeniu Łużeckiego, nie pominięty. Gdy bowiem

Przypadł Haneńko, ataku odradza,

ofuknął go kasztelan:

Niech waść pamięta, że ja tu przewodzę!

Podobieństwo utworu, o którym mówimy, do jego źródła nie jest wszelako zupełne. Poeta w niejednym punkcie odstąpił na własną rękę od tradycyj dziejowych. I tak co do osoby głównego bohatyra, historja nie stawia Karola Łużeckiego w tak ponurem świetle, w jakiem go ukazuje nasz poemat. Piszą wprawdzie o nim, że jako kreatura dworu nie cieszył się mirem w wojsku, które z Sobieskim trzymało, że z natury swojej był porywczy, a jako wódz nieudolny, że pod Czetwertynówką poniósł klęskę i „zatracił dwa pułki dragonji" — ale żeby miał w stanowczej chwili, w obliczu całej armji nieprzyjaciela stracić zupełnie odwagę, opuścić ręce, myśleć jedynie o własnym ratunku i w dodatku jeszcze drugich zachęcać do ucieczki: na to wszystko dowodów nie masz. Owszem świadczy Kochowski, że kasztelan w najgorętszym momencie „dzielnie bił Tatarzyna;" a odwrót naszych, lubo z ucieczką połączony, nastąpił dopiero po zawziętej walce z przemocą, kiedy już „padło wielu zacnych towarzyszów." Są jeszcze inne różnice. Miecznikowi Raczkowskiemu każe poeta bohatyrsko ginąć w tej zawierusze, podczas gdy przytoczone świadectwo dziejowe co innego o nim powiada. Rożniatowskiemu zaś przypadła w poemacie rola bardzo podobna do tej, jaką podług dokumentów historycznych spełnił kozacki wódz Haneńko.

Dla czego Romanowski w tych szczegółach odstąpił od źródła, z którego - jak okazaliśmy — niewątpliwie musiał korzystać? Czy zmiany tego rodzaju w artystycznej budowie poematu znajdują konieczne swe usprawiedliwienie? Na pytania powyższe nie ośmielamy się dawać stanowczych odpowiedzi. Zdaje nam się tylko, że robota poety może być wytłumaczoną, jeżeli się weźmie na uwagę antytezę obu naczelnych postaci, o którą chodziło; co zaś do Raczkowskiego, to już z samego założenia rapsodu wypadło temuż naznaczyć taką tylko rolę, jaką ma, nie inną. Czemu wszakże Haneńko umieszczony został dopiero na trzecim planie? — to bogdaj czy z architektoniki utworu da się łatwo wyjaśnić.

Rzecz drugiego rapsodu *Łużeckich* w porównaniu z dziejowym materjałem, nie okazuje już tyle odmian. Poeta zaczerpnął tu w całości i prawie wszędzie wiernie z powołanego źródła, jedynego o ile wiemy do tych wypadków.

Kochowski tak pisze o szturmie Budzanowa:

„Czwartym obozem stanąwszy Turcy, uwiadomieni zostali przez Tatarów przednią strażą wyprawionych, że w pobliżu jest zamek jakiś; a ci co się w nim zawarli, gotują się do obrony. Był to Budzanów, miasteczko z małym zameczkiem. Schroniło się do niego trochę szlachty, także chłopstwa wiele, z rodzinami i majątkiem swoim wyniósłszy się z pobliskich chałup, myśląc, że tam będą ubezpieczonymi od łupieżczych wrogów, jeźli w pośród przekopów i murów znajdą przytułek. Tomasz Łużecki, brat kasztelana podlaskiego, przywodził owym śmiałym obrońcom. Naprawili tedy jakokolwiek przekopy koło zamku. Odegnawszy niektóre łupieżące kupy tatarskie, bardziej zuchwałymi się okazali niż rozsądnymi (?), nawet gardząc tureckim orężem. Bo Agę przybyłego z oddziałem żołnierzy, aby ich do poddania przywiódł, śmiałemi słowy i dzielnym oporem przywitali, a potem kuszącego się o zamek ubili, i licznemi trupami jańczarów rowy napełnili."

„Wstydziło to Turków, iż od jednego zgoła kurnika zostali znieważeni; więc postanowili, nie oblężeniem przyciskać owe króliki, lecz wstępnym bojem i przemocą poskromić je. Zatem kołem opasali zamek gęstemi tłumami janczarów; srogim ogniem działowym mury w kilku miejscach przełamawszy Turcy, przypuścili szturm, z taką zapędzając się natarczywością, że nie odstraszeni gradem kul armatnich, na nich sypiącym się, w okamgnieniu wały opanowali i nawet znaki swe na murze zatknęli. Lecz Polacy nie tracąc ducha, dzielnie bili nieprzyjaciela; Turków, jakoby wściekłością rozjuszeni, zrzucili z murów i okopów, z ogromnem zawstydzeniem i niemałą klęską najezdnika; i lubo coraz świeże szeregi janczarskie raz po raz szły do szturmu, przez trzy dni wytrzymali oblężenie."

„Nakoniec dzielność, nierówna liczbie przemagającej, uledz musiała. Nieszczęśliwi błagali o litość; lecz wśród wrzawy walki nie słyszano ich wołania, lub też Turcy rozjuszeni śmiercią tylu swoich, nie przepuścili za późno odzywającemu się „pomiłuj!" Tak to najzacniejsi od szabli tureckiej zginęli — a który nie poległ, z rodziną swoją poszedł w wieczną niewolę. Łużeckiego przyprowadzono przed baszę. Ten widząc męża śmiałego i postaci wspaniałej, ściąć go kazał. Wyrzucając mu jego zuchwałość, zawołał:

— „Chciał on mi w pochodzie moim zagrodzić drogę, obraził majestat otomański, więc ukaraną zostanie zbrodnia jego*)."

Zdaje nam się, że wobec tego wszystkiego, cośmy przywiedli, bliższych uwag o drugiej pieśni naszego poematu czynić nie potrzebujemy. Czytelnik sam widzi dobrze, co w tej części rapsodu jest inwencją poety, a co oparte na historycznej podstawie. Że przydatki czysto poetyczne były tu prawie zawsze szczęśliwie pomyślane, a szczególniej owa przepyszna scena odegrana w baszcie Budzanowskiego zamku, która jak to już powiedzieliśmy, stanowi najpiękniejszą część utworu — tego wszystkiego teraz dowodzić byłoby już zbytecznem.

Zgodzą się z nami wszyscy, że *Łużeccy* są poematem wielkiego pomysłu, godnym pracy znakomitego pióra, i że mieszczą w sobie ustępy

*) Tamże str. 204—205.

niepospolitego wdzięku. Ale utwór ten z pod pióra Romanowskiego nie wyszedł przecież w doskonałem wykończeniu i nie okazuje się dziełem sztuki, któreby we wszelkich swoich częściach harmonijnie było wypracowane. Krytyka właśnie z tego stanowiska najwięcej zarzutów czynić będzie poecie, mianowicie w pierwszej pieśni. Wciągnięto za wiele momentów, które nie zostały należycie oddane; ztąd pewne sceny z poetycznego rysunku wyszły mdłemi szkicami, a pewne typy wypadły bardzo blado.

* * *

(C. d. n.)

Magnetyzm zwierzęcy i Jasnowidzenie.

przez

Dr. Jana Stellę Sawickiego.

(Dokończenie).

Mózg, jak każda inna część ciała, męczy się przez odbieranie różnych wrażeń i potrzebuje wypoczynku. Chwila, w której podrażnienia zewnętrzne nie wywierają na mózg żadnego wpływu, jest początkiem snu. Głębokość i długość snu zależy od zmęczenia tego organu. Gdy mózg odpocznie, podrażnienia zewnętrzne zaczynają budzić zmysły nasze, z początku słuch, potem węch, smak i wzrok. Senne marzenia są następstwem podrażnienia mózgu wskutek budzących się powoli zmysłów. W czasie snu głębokiego, marzeń nie ma. Znużenie mózgu może nastąpić powoli lub szybko. Kto z nas nie doznał, jaka nieprzełamana chęć pociąga do drzemki gdy znajdujemy się wobec nudnego człowieka, lub, gdy słuchamy monotonnej mowy lub czytania? Lecz mózg można znużyć bardzo prędko za pomocą pewnych manipulacyj, jak to się dzieje przy hipnotyzowaniu, lub tak zwanem magnetyzowaniu. Następuje sen mniej lub więcej mocny, w miarę znużenia i nastrojenia hypnotyzowanej osoby, przy czem jedni mogą jeszcze słyszeć, inni mówić, lub nawet chodzić jeszcze, bo jeszcze mózg jest czynnym; wtedy, gdy drudzy zapadają w taki głęboki sen, że potrzeba nawet użyć elektryczności, żeby obudzić z niego. W głębokim śnie zachowujemy takie położenie, jak przy zaśnięciu, chociażby położenie to było najniedogodniejsze, zmysły są przytępione, wydzielenia powstrzymane, tętno zwolnione, a u małych dzieci w pierwszym śnie zauważano nawet, że często mięśnie kończyn znajdują się w stanie kataleptycznego naprężenia. Gdybyśmy chcieli rozwinąć obszerniej porównanie snu fizjologicznego z kataleptycznym, moglibyśmy znaleźć nadzwyczajnie wiele dowodów prawdopodobieństwa, mimochodem rzuconej hipotezy, lecz to oderwałoby nas od przedmiotu, który nas zajmuje.

Wróćmy teraz znowu do magnetyzmu zwierzęcego. To, cośmy widzieli w objawach hysterji, katalepsji i w następstwach hypnotyzowania, objaśniło dostatecznie, że wszystkie objawy tak zwanego magnetyzmu zwierzęcego, mieszczą się w ramach, któremi objęła nauka zjawienia chorób nerwowych. Dziś już wiemy, że podrażnienie mózgu, wywołane rozgorączkowaną wyobraźnią, może sprowadzić nieczułość na zewnętrzne wpływy, ekstazę, konwulsje, sen kataleptyczny itd.; wiemy, że ludzie w stanie nerwowego podrażnienia tracą wszelką bezpośrednią obserwację i niezmiernie łatwo przenoszą wrażenia swego świata wewnętrznego na zewnątrz, a ztąd omamy, halucynacje, widzenia, opisy jakichś dziwnych obrazów, które maluje wyobraźnia. Nieuctwo mas, i przesądy, wpojone od dzieciństwa, a połączone z niezmierną skłonnością człowieka do wierzenia we wszystko, co jest nadprzyrodzone, cudowne; łatwość, z jaką dają się oszukać słabe umysły, są przyczyną, że magnetyzm zwierzęcy jeszcze odgrywa pewną rolę. Do dziś znajdziecie ludzi, co na wszelkie zarzuty będą odpowiadać: „Jak objaśnicie ten wpływ magnetyzera na pacjenta? Jak objaśnicie, że pacjent po jednym ruchu zgaduje myśl mistrza? Dlaczego, gdy manetyzer przychodzi do towarzystwa, wpływ jego tyle osób czuje na sobie“?

W każdej rzeczy wyobraźnia odgrywa niezmiernie ważną rolę. Któż nie zna słabości kobiet do znanych Don Juanów, kto nie słyszał o pociągu mężczyzn do upadłych kobiet? Wyobraźnia otacza magnetyzera pewnym nimbem nadzwyczajności, tajemniczości i pociąga do aprobowania jego siły. Jeżeli jest to człowiek sam przekonany, iż posiada szczególne własności woli, jeżeli do tego choć mała liczba podziela jego przekonanie, wpływ jego moralny jest zapewniony. Gdy magnetyzer zna dobrze techniczną stronę swojej sztuki, to już same ruchy jego, postawa i gestykulacja robią wrażenie na nerwowe organizmy, rozdrażniają je i usposobiają do poddania się wpływowi tego człowieka. Pod wrażeniem pewnych manipulacyj, niemających żadnego znaczenia, nerwowe osoby tracą czułość wskutek zagłębienia się w sobie samych i przychodzą do ekstazy. Jeżeli do tego wrażenia słuchowe działać nie przestają, to między magnetyzującym i magnetyzowanym może powstać pewien stosunek i porozumienie. Gdy zaś znajdujący się w ekstazie zaczyna bredzić i dawać odpowiedzi niejasne, wtedy magnetyzer wchodzi w akcję i sam objaśnia słowa jego według własnych widoków.

Co do leczniczego działania magnetyzmem — jest to czyste złudzenie. W tym względzie magnetyzerowie schodzą się z homeopatami, bo jedni leczą choroby jakimś tajemniczym płynem, który nie istnieje, drudzy zaś kurują imaginacyjne choroby imaginacyjnem lekarstwem.

Gdym już wyrobił sobie jasno pojęcie o tem, co jest prawdą w tak zwanym magnetyzmie zwierzęcym, a co jest szalbierstwem lub oszukiwaniem samego siebie, losy mnie rzuciły znowu na piękną ziemię Szwajcarji. W Genewie, po mojem przybyciu, przeczytałem pompatyczne ogłoszenie, że „profesor“ Pinelli ma przedstawić niezwykle ciekawe zjawiska magnetyzmu zwierzęcego, nie posługując się jasnowidzącą, lecz tymi, kto z pomiędzy widzów zechce się poddać jego manipulacjom magnetycznym. W naznaczoną godzinę byłem jednym z pierwszych, chcąc się przekonać, czy zapatrywania moje nie zmienią się w czemkolwiek.

Sala napełniła się ciekawymi. Było wielu mężczyzn, ale jeszcze więcej kobiet. Pan „profesor“ Pinelli ubrany bardzo starannie, człowiek młody, z wyrazistą południową twarzą i z niezmierną pewnością siebie, wyszedłszy przed publikę, objawił, że chce przekonać, iż objawy magnetyzmu zwierzęcego należą do dziedziny nauki, i że dlatego uprasza, żeby osoby, chcące na sobie wypróbować wpływu magnetycznego, wyszły naprzód. Znalazło się tylko sześciu mężczyzn, między którymi i ja byłem. Kazał on nam usiąść jeden za drugim w rząd i patrzeć uważnie na niego, a następnie zaczął robić w powietrzu tak zwane magnetyczne pasy. Eksperyment trwał długo. Po półgodzinnem prawie machaniu rękami, widząc, że nikt nie zasypia, zmęczony profesor powstrzymał doświadczenie swoje, i zaczął pytać, co każdy z nas czuł. Jeden powiedział, że mu głowa jakoś zaczęła ciężyć. drugi, że go drzemka napadała, trzeci, że czuł chętkę do ziewania itd. Ja zaś objawiłem, żem czuł tylko znudzenie od długiego doświadczenia. Nic dziwnego, że się innym na drzemkę zabierało, bo trudno wysiedzieć na jednem miejscu spokojnie w ciągu półgodziny, wytrzeszczywszy oczy na szalbierza, i myśleć tylko o tem, czy on uspi czy nie uspi.

Widząc, że pierwsza próba nie udała się, pan „profesor“ ofiarował się zrobić doświadczenie na jakiejś znajomej pani, która zgodziła się na to. W samej rzeczy po ćwierćgodzinnem machaniu rękami nad nią, uspił ją nakoniec. Cały prawie wieczór przeszedł na tych nieinteresujących próbach. Siedzieliśmy dwie i pół godziny w sali; zaczęło się robić duszno i ciężko w głowie, gdy p. Pinelli objawił, że chce zrobić ostatnie doświadczenie wpływu muzyki na zebraną publiczność. Wiele kobiet, podrażnionych długiem wyczekiwaniem czegoś nadzwyczajnego, nie chciały się narażać na atak nerwowy i wyszły z sali, bo pan „profesor“ radził, żeby nerwowe osoby nie próbowały tego. Były jednak kobiety, których ciekawość przemogła strach, i pozostały w sali. P. Pinelli dał znak i za kortyną odezwały się minorowe tony — wyobraźcie czego? — hymnu moskiewskiego: „Boże caria chrani“, który miał w zachwyt wprowadzić nerwowe osoby. O mało nie parsknąłem na całą salę, słysząc znane mi dobrze tony harmonji, przypominającej bałwochwalstwo moskiewskie. Lecz o dziwo! Po pierwszych zaraz akordach, kilka histeryczek zaczęło niespokojnie kręcić się na krzesłach, a niektóre nawet popadały na ziemię ze wzruszenia, tak że przestraszeni mężowie i bracia zaczęli krzyczeć: „assez, assez“, i przedstawienie musiało być skończonem.

Wyobraźnia, podniecona chełpliwemi opowiadaniami pana „profesora“, doprowadziła nerwowe osoby do spazmów. Znowu więc z przedstawienia wyszło wiele osób, mówiąc, że jest coś dziwnego w tym magnetyzmie i coś szczególnego w tym człowieku, jeżeli za pociągnięciem ręki mógł sprowadzić taki rozstrój nerwowy. Dziwne to stworzenie ten człowiek! W jednem miejscu hymn ten wywołuje przypomnienie barbarzyństwa, łez i krwi ofiar, uciemiężenia i niewoli tych ludów, a w drugim rodzi uczucia, prowadzące do uniesień, do ekstazy!

Maskarada.

Łuny świateł jaśnieją,
Tłumy ludu szaleją,
W zgiełku, śmiechu, pustocie, rozgwarze —
Kto? — daremna ciekawość...
Zdradna szat ich jaskrawość,
Zdradna maska pokrywa ich twarze.

Do akordów muzyki
Łącząc pląsy i krzyki,
Dziwne larwy migają dokoła:
Tu się filut przemyka
W habicie zakonnika,
A tam potwór wziął pozór anioła!

Bankrut — w drogich koronkach,
Mędrzec — w błazeńskich dzwonkach,
Zalotnica w skromności welonie...

W poważnej todze — głupiec!
W wieńcu poety — kupiec!
Nędzarz duchem — w błyszczącej koronie.

Tu i owdzie mkną czarne
Jakieś widma poczwarne,
Strojne w złoto i drogie kamienie;
Zakryte ich oblicze,
Jak Sfinksa tajemnicze
Nosi tylko dewizę: „Znudzenie!“

Cóż to? z wyżyn, o cudy!
Zstępują wielkoludy,
W aureoli i szatach pielgrzymów!
Nagle spadły zasłony,
Śmiech się rozległ szalony,
Cha! cha! karły zostały z olbrzymów!

Ciekawych spojrzeń błyski,
Słów zatrutych pociski
Lecą gradem, — mijają się, plączą.
Z gorączkowym pośpiechem,
Z cierpkim szydu uśmiechem,
Czas po sali przechadza się rączo.

Dalej, dalej drużyno!
Chwile płyną, a płyną.
Wartoż płakać, gdy nic ich nie wstrzyma? —
Wartoż myśleć o bycie?
Hasłem wieku „użycie“
Z zamkniętemi na przeszłość oczyma.

Aż z posępnej tam wieży
Grzmiąca północ uderzy,
Słońc fałszywych pogasną wam blaski —
I przypomni dreszcz trwogi,
Że u kresu już drogi,
Że przed sądem staniecie — bez maski!

7 Luty 1876.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ III.

(Ciąg dalszy.)

Pencroff i Ayrton, pomimo że wiedzieli o tem, iż narażają się na odcięcie, nie porzucili swoich stanowisk, częścią dlatego, że nie chcieli jeszcze pokazać się nacierającemu nieprzyjacielowi i wystawić się na strzały działowe *Speedy'ego*, częścią zaś, ponieważ liczyli na Naba i Gedeona Spiletta zaczajonych u ujścia rzeki, i na Cyrusa Smitha i Harberta ukrytych za skałami „dymników.“

W dwadzieścia minut od chwili, gdy padły pierwsze strzały, łódź z korsarzami zbliżyła się ku Dziękczynnej na odległość kilkudziesięciu sążni. Ponieważ zaczął się właśnie przypływ, jak zwykle gwałtowny z powodu ciasnego ujścia rzeki, korsarze uczuli się pędzonymi prądem wody ku rzece, i tylko za pomocą wioseł zdołali utrzymać się w pośrodku kanału. Lecz gdy na odległość strzału zbliżyli się do ujścia Dziękczynnej, powitały ich dwie kule, i dwóch z nich padło w łódź. Strzały Naba i Spiletta nie chybiły snać celu.

W tej samej chwili wyłano ze statku drugą kulę działową w miejsce, które zdradzał dym pochodzący od strzałów; kula ta jednak prócz tego, że zerwała wierzchołki kilku skał, żadnego innego nie sprawiła skutku.

W tej chwili znajdowało się w łodzi tylko trzech zdatnych do boju ludzi. Czółno porwane prądem, pomknęło kanałem jak strzała, minęło Cyrusa Smitha i Harberta, lecz ci, widząc że strzał byłby niepewny, nie odezwali się wcale; poczem łódź, okrążywszy północną kończynę wysepki siłą pozostałych jeszcze dwóch wioseł, zwróciła się napowrót ku okrętowi.

Jak dotąd, osadnicy nie mieli powodu uskarżać się. Pierwsze starcie wypadło niekorzystnie dla nieprzyjaciela, który liczył już czterech ciężko rannych a może nawet zabitych. Oni przeciwnie wyszli zupełnie cało i nie stracili ani jednego strzału. Gdyby korsarze dalej tym trybem prowadzili walkę i jeszcze kilka razy spróbowali wylądować czółnem, możnaby ich było wystrzelać po jednemu.

Okazało się teraz, jak szczęśliwe były zarządzenia inżyniera. Korsarze mogli sądzić z tego, że mają do czynienia z licznym i dobrze uzbrojonym przeciwnikiem, i że nie łatwo dadzą sobie z nim radę.

Upłynęło pół godziny, zanim łódź mająca do walczenia ze silnym prądem morza, dobiła do okrętu. Ozwały się straszliwe krzyki, gdy wynoszono rannych na pokład, dano jeszcze trzy lub cztery strzały armatnie, oczywiście bez żadnego skutku.

Równocześnie jednak dwunastu innych zbójców, oszołomionych wściekłością a może i wczorajszą pijatyką, wskoczyło do łodzi. Spuszczono zarazem w morze drugie czółno, do którego wsiadło ośmiu ludzi, i podczas gdy pierwsze zwróciło się wprost ku wysepce, aby wyparować z niej osadników, drugie gotowało się natomiast wziąć przebojem ujście Dziękczynnej.

Położenie Pencroffa i Ayrtona stawało się widocznie groźnem. Zmuszeni więc byli cofnąć się na wyspę.

Zaczekali jednak przedtem, aż pierwsze czółno zbliży się na strzał, i dwie kule celnie wymierzone, sprawiły popłoch w jego załodze. Poczem Pencroff z Ayrtonem porzucili swe stanowiska, wśród gradu kul nieprzyjacielskich przebiegli pędem wysepkę, wskoczyli do swego czółenka, przepłynęli kanał w chwili gdy drugie czółno korsarskie dotarło do południowej kończyny, i schronili się do dymników.

Zaledwie połączyli się z Cyrusem Smithem i Harbertem, wysepka opanowaną została przez korsarzy zostających w pierwszem czółnie; zbóje przebiegali ją całą wszerz i wzdłuż.

W tej samej prawie chwili zagrzmiały nowe strzały u ujścia Dziękczynnej, do którego zbliżało się drugie czółno z korsarzami. Na ośmiu zbójów, którzy stanowili jego załogę, dwóch zostało śmiertelnie ranionych przez Gedeona Spiletta i Naba, a czółno samo, nie powstrzymaną siłą wpędzone na skały, rozbiło się u ujścia Dziękczynnej. Sześciu zbójów jednak pozostałych przy życiu, z bronią wzniesioną ponad wodę by ją uchronić od zamoczenia, zdołało wdrapać się na prawy brzeg rzeki. Widząc się jednak zbyt blisko narażonymi na kule, puścili się pędem ku przylądkowi Rozbitków, po za obręb strzałów.

Stan rzeczy był zatem następujący: na wysepce znajdowało się dwunastu zbójów, z tych niezawodnie kilku rannych, którzy posiadali jedno czółno na usługi; na wyspie wylądowało wprawdzie sześciu, lecz ci nie mogąc dostać się na drugi bok Dziękczynnej na której wszystkie mosty były pozwodzone, tem samem nie byli także w stanie dotrzeć do Pałacu Granitowego.

— Wybornie idzie! rzekł Pencroff wbiegając do „dymników,“ wybornie idzie, panie Cyrusie! A pan jak myślisz?

— Ja myślę, odparł inżynier, że walka przybierze teraz inną postać, niepodobna bowiem posądzać korsarzy o nierozsądek do tego stopnia posunięty, by chcieli prowadzić ją dalej w tak niekorzystnych dla siebie warunkach!

— Kanału nie przepłyną jednak w żaden sposób, rzekł marynarz. Karabiny Ayrtona i Spiletta nie dopuszczą tego. Wszak wiesz pan, że niosą na milę angielską!

— Bez wątpienia, odparł Harbert, lecz cóż pomogą dwa karabiny przeciwko działom okrętowym?

— E! okręt jeszcze nie stoi w kanale, jak sądzę! odparł Pencroff.

— A jeśli wejdzie do kanału? zapytał Cyrus Smith.

— Niepodobna, naraziłby się na to, że osiadłby na mieliźnie i przepadł z kretesem!

— Jednak to podobna, odparł Ayrton. Korsarze mogą, korzystając z przypływu, wejść do kanału, chociażby później nawet osiedli na piasku, a wtedy pod strzałami działowemi nie podobnaby było utrzymać się na naszem stanowisku.

— Do krocset stu tysięcy czartów! zawołał Pencroff; doprawdy, te łotry biorą się do podnoszenia kotwicy!

— Może zmuszeni będziemy schronić się do Pałacu Granitowego? zauważył Harbert.

— Czekajmy jeszcze! odparł Cyrus Smith.

— Lecz cóż stanie się z Nabem i Spilettem?... zapytał Pencroff.

— Potrafią połączyć się z nami gdy będzie trzeba. Bądź w pogotowiu, Ayrtonie. Teraz kolej na wasze karabiny, twój i Spiletta.

Przypuszczenie Cyrusa zdawało się sprawdzać! *Speedy* począł ruszać się na kotwicy i objawiać zamiar zbliżenia się ku wysepce. Przypływ miał trwać jeszcze półtora godziny, a ponieważ prąd morza już się był przełamał, więc łatwo było kierować statkiem według woli. Mimo to Pencroff, wbrew zdaniu Ayrtona, nie mógł jeszcze przypuścić, ażeby korsarze śmieli wprowadzić statek do kanału.

Tymczasem korsarze, którzy opanowali byli wysepkę, przenosili się zwolna na przeciwny jej brzeg, tak że tylko kanał oddzielał ich od wyspy. Będąc uzbrojeni tylko w broń ręczną, nie mogli nic złego zrobić osadnikom ukrytym w „dymnikach“ i przy ujściu Dziękczynnej; nie wiedząc jednak o tem, że ci zaopatrzeni są w dalekonośne karabiny, sądzili, że sami są także bezpieczni przed strzałami. Przebiegali więc swobodnie wysepkę i wałęsali się wzdłuż jej brzegów.

Nie długo jednak zostawali w tym błędzie. Karabiny Ayrtona i Gedeona Spiletta przemówiły nagle i musiały zapewne coś nieprzyjemnego powiedzieć dwom zbójom, bo od razu padli na ziemię.

Wtedy powstał ogólny popłoch. Reszta zbójów, nie zabrawszy ze sobą nawet swoich towarzyszów rannych lub zabitych, uciekła co tchu na drugi brzeg wysepki, powskakiwała do czółna, na którem przypłynęli, i siłą wioseł przybili napowrót do okrętu.

— Ośmiu mniej! zawołał Pencroff. Doprawdy pan Spilett i Ayrton, jakby się umówili ze sobą!

— Panowie, odparł Ayrton nabijając na

nowo karabin, rzecz zaczyna przybierać postać groźniejszą. Okręt rozwija żagle!

— Podnoszą kotwicę!... zawołał Pencroff.

— Tak, w samej rzeczy.

Słychać było wyraźnie szczęk łańcucha i zgrzyt windy. *Speedy* zbliżył się z razu do kotwicy, a gdy hak wyciągnięto z dna, począł zbliżać się ku wysepce. Wiatr wiał od morza; rozwinięto główny żagiel i mniejszy żagiel bocianiego gniazda, i statek zwolna posuwał się ku wysepce.

Oba poczty ustawione przy ujściu Dziękczynnej i w „dymnikach," śledziły każde poruszenie okrętu, zachowując się same całkiem spokojnie, chociaż nie zdołały przytłumić w sobie pewnego wzruszenia. Położenie osadników stawało się okropnem: z bliska być wystawionym na ogień działowy, a nie módz nań skutecznie odpowiedzić! Czyż byliby wtedy w stanie przeszkodzić korsarzom wylądować?

Cyrus Smith czuł to dobrze i zapytywał sam siebie, co czynić? W kilku minutach trzeba było coś postanowić. Ale co? Zamknąć się w Pałacu Granitowym, dać się oblęgać tygodniami, wreszcie miesiącami całemi, żywności bowiem mieli dosyć? Dobrze! Ale co potem? I w takim razie korsarze opanowaliby całą wyspę, spustoszyliby ją dowoli, a wreszcie z czasem zmusiliby oblężonych do poddania.

Możność obrony istniała tylko w tym jednym razie, gdyby Bob Harvey nie odważył się wejść z okrętem do kanału i stanął zdala, koło wysepki. W takim razie oddalony był pół mili od wybrzeży, a w tej odległości, strzały działowe byłyby mniej szkodliwe.

— Nie, nigdy, przenigdy! powtarzał Pencroff; Bob Harvey, jeśli jest dobrym marynarzem, nie wejdzie nigdy do kanału! Wszak wie o tem, że na wypadek burzy, naraziłby okręt na zgubę! A cóżby począł bez okrętu?

Tymczasem jednak okręt zbliżył się do wysepki, i widać było, że sterował ku dolnej kończynie. Wiatr wiał łagodny a ponieważ prąd osłabł był znacznie, więc Bob Harvey mógł kierować statkiem, jak chciał.

Czółna wysłane poprzednio wskazywały mu były drogę do kanału, to też zuchwale płynął wprost ku niemu. Zamiar jego był aż nadto widoczny: chciał usadowić się z okrętem naprzeciw „dymników," i z tamtąd kulami i granatami odpowiedzieć na strzały, które zdziesiątkowały mu załogę.

Speedy niebawem dotarł do kończyny wysepki i okrążył ją z łatwością; wtedy rozpiął żagle i płynąc z wiatrem, pojawił się wkrótce naprzeciw ujścia Dziękczynnej.

— Korsarze zbliżają się do nas! zawołał Pencroff.

W tej chwili Nab i Gedeon Spilett przyłączyli się do Cyrusa Smitha, Ayrtona, marynarza i Harberta.

Korespondent i jego towarzysz uznali za stosowne porzucić swój poczt przy ujściu Dziękczynnej, skąd nie mogli nic więcej zdziałać przeciw okrętowi, i postąpili sobie roztropnie. Lepiej było, iż osadnicy połączyli się razem w chwili, gdy miało przyjść niezawodnie do walki rozstrzygającej. Gedeon Spilett z Nabem przybiegli chyłkiem kryjąc się za skały, wśród gradu kul, z których jednak żadna ich nie tknęła.

— Spilecie! Nabie! zawołał inżynier. Żaden z was nie raniony?

— Nie! odparł korespondent, prócz kilku kontuzyj od kul rekoszetujących! Ale ten przeklęty okręt płynie prosto do kanału!

— W samej rzeczy! odparł Pencroff, za dziesięć minut stanie kotwicą naprzeciw Pałacu Granitowego!

— Co zamyślasz czynić, Cyrusie? zapytał korespondent.

— Trzeba nam schronić się do Pałacu Granitowego, póki czas jeszcze, a zbóje nie mogą nas dostrzedz.

— I ja tak sądzę, odparł Gedeon Spilett, ale gdy się raz zamkniemy...

— Zastosujemy nasze działanie do okoliczności, odparł inżynier.

— A zatem w drogę, a spieszmy się! rzekł korespondent.

— Nie życzysz sobie, panie Cyrusie, abyśmy ja z Ayrtonem zostali tutaj? zapytał marynarz.

— Poco? odparł Cyrus Smith. Nie Pencroffie. Nie rozłączajmy się!

Nie było chwili więcej do stracenia. Osadnicy opuścili „dymniki." Mały załom ściany granitowej zasłaniał ich przed okiem zbójów, lecz dwa lub trzy wystrzały i łomot kul roztrzaskujących skały, zwiastował, że *Speedy* znajdował się już niedaleko.

W jednej chwili wskoczyli do windy, podnieśli się do drzwi Pałacu Granitowego, gdzie Top z Jowem siedzieli zamknięci od wczoraj, i wpadli do głównej sali.

Był to czas ostatni, przez gałęzie bowiem zasłaniające okna Pałacu Granitowego, ujrzeli osadnicy, jak *Speedy* otulony chmurą dymu wpływał do kanału. Musieli nawet usunąć się na bok, strzały bowiem następowały jeden po drugim, a kule działowe biły na ślepo w opuszczony dopiero poczt u ujścia Dziękczynnej i w „dymniki." Od pocisków pękały skały, a każdemu wystrzałowi towarzyszyły dzikie okrzyki hurra!

Można się jednak było spodziewać, że korsarze oszczędzać będą Pałac Granitowy, dzięki pomysłowi Cyrusa, wskutek którego okna pozasłaniano gałęźmi, gdy nagle kula, wyłupawszy szerszy otwór wchodowy, wpadła do środka Pałacu.

— Piekło! Czy odkryto nas? zawołał Pencroff.

Być może, że zbóje nie dostrzegli osadników, to jednak pewna, że Bob Harvey uznał za stosowne wysłać jeden pocisk między te podejrzane gałęzie przysłaniające tę część wysokiej ściany granitowej. Gdy wkrótce druga kula przedarłszy tę kotarę z zieleni, ukazała szeroki ziejący otwór w skale, podwoił jeszcze pociski.

Położenie osadników było rozpaczliwe. Schronienie ich zostało odkryte. Nie byli w stanie stawić oporu tym pociskom, ani uniknąć kamieni, latających kawałami dokoła nich. Nie zostawało im nic, jak tylko schronić się do górnej części Pałacu Granitowego, a mieszkanie swe oddać na spustoszenie, gdy w tem — dał się słyszeć głuchy huk jakiś, a po nim straszliwe krzyki?

Cyrus Smith i towarzysze jego rzucili się do okien.

Okręt, olbrzymią jakąś siłą, niby trąbą morską podrzucony w górę, rozpadł się w tej chwili na dwie połowy, i w dziesięciu sekundach pochłonęły go fale morskie wraz z całą jego zbrodniczą załogą. (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

— Jeżeli pani rozkaże, to przyjdę; była odpowiedź Wacława. Helenka podała mu rękę, drżącą od wzruszeń, które ją przejmowały. Wacław nie drżał, ale od początku rozmowy miał takie uczucie, jak gdyby marzył we śnie: wszystko co się działo, było zbyt nadzwyczajnem, ażeby mogło mieć miejsce w rzeczywistości. To nadspodziewane widzenie się z Helenką, na jej własne żądanie, zdawało się należeć do rzędu zdarzeń równie niezwykłych, jak okropna tajemnica, którą mu powierzyła. Mam nadzieję, że pomimo grozy, jaką tajemnica ta powinna była przejmować ich niepodzielnie, aniołowie w niebie nie wzięli im za złe, jeżeli im się obojgu zdawało przez chwilę, iż niebo otwiera się nad nimi, iż dokoła nich nie ma nic, oprócz szczęścia i roskoszy na całym świecie. Pod tem wrażeniem, on odszedł, a ona patrzyła za nim, póki nie znikł na skręcie drogi.

W tej chwili dopiero widok kapelusza słomianego, który pojawił się pomiędzy lipami, przypomniał Helence, gdzie jest, i jakie troski ciężą jej na sercu. Był to kapelusz p. Zameckiego, który wracał z przechadzki po wsi, w towarzystwie całego grona suplikantów. Jednemu zajęto bydło w szkodzie, drugi potrzebował budulca na chatę, którą stawiał, trzeci i czwarty nieco żyta i jęczmienia, ażeby przetrwać przednowek do końca, piątemu zagrabiono ruchomości za podatek, i potrzebował gotówki, szóstego brat wyrugował z gruntu i z chaty, prosił więc o radę i pomoc. Tego rodzaju sprawy zajmowały p. Tadeusza co rana i co wieczora, jak długo bawił w Rymiszowie, i nie przykrzyło mu się nigdy dawać, czego każdy żądał, a potem z wszelką pewnością oczekiwać dowodów jasnej niewdzięczności ze strony obdarzonych. Pan Tadeusz mawiał, że jest to dla niego rodzajem sportu ewanielicznego, polegającego na oddawaniu chleba za kamienie; a ilekroć zdarzyło mu się, że dobrodziejstwa jego nie padły na niewdzięczną glebę — co nawiasem mówiąc, zdarzało się bardzo rzadko, tylekroć twierdził, że czuje się w położeniu sportsmana, którego biegun skrewił i uciekł z areny. Sąsiedzi narzekali na jego postępowanie, twierdząc, że psuje włościan i bawi się w chłopomana, na co on odpowiadał zwykle, że nikt bardziej od niego nie czuje wstrętu do tego ludu brudnego, niedbałego, głupiego i przebiegłego, ale że robi wszystko dla swojej przyjemności, i że każdy może robić to samo. Jedynym wydatkiem znaczniejszym naszego chłopa, mawiał, jest wódka, wszystko inne jest fraszką. Otóż ja mu nie daję wódki, a nakarmić całą wieś na przednowku, według wiejskich prawideł gastronomicznych, to taka bagatelka, że nie ma dworu szlacheckiego, któryby sobie od czasu do czasu nie mógł pozwolić tego zbytku. Swoją drogą, rządca oczekiwał zawsze z niecierpliwością wyjazdu pana, bo jak długo p. Zamecki bawił w Rymiszowie, to kto chciał pasł bezkarnie chudobę na jego gruntach, a nikt nie odrabiał zaliczek wziętych w zbożu i w gotówce, chociaż mu liczono zboże jak najtaniej, a robotę jak najdrożej, i chociaż „Porcje" drzymały jeszcze wówczas przedhistoryczną swoją drzymką w młodzieńczej wyobraźni hr. Stanisława Tarnowskiego.

P. Tadeusz spostrzegł był z daleka Helenkę

i Wacława, i uśmiech, który rozpromienił jego oblicze, odbił się całemi ćwierciami żyta i jęczmienia na potrzebujących wsparcia mieszkańcach Rymiszowa.

— Jaki to ranny ptaszek z ciebie! — zawołał, witając swoją wychowankę.—A czy powiedziałaś Rolińskiemu, jaką misję przeznaczyliśmy mu na dzisiaj?

— Pan Roliński — odparła zarumieniona — podjął się oddać mój list na pocztę w Korytnicy... Mówił, że przyjdzie do zamku z księdzem proboszczem...

— A! Tak, tak, prosiłem ich na objad.... więc przyjdzie, przyjdzie!

Od tej chwili, p. Tadeusz był w wybornym humorze. Nawet p. Zgorzelskiego, którego przyjmował dość oziębłe od pewnego czasu, powitał tak serdecznie, jak rzadko. Gdy przybył proboszcz z Wacławem, posypał się z ust pana domu taki grad alluzyj i niewinnych dwuznaczników, że obydwie panienki rumieniły się z ambarasu i cichego szczęścia, a Wacław i p. Alfred, każdy z innego powodu, mieli miny uroczyście niezgrabne.

— Ale! ale! — zawołał nagle p. Tadeusz. Muszę wam też pokazać, co mojej pani udało się dziś znowu w kierunku oszczędności! Chodźcie-no na werandę. Prawda, jaka piękna? A jak pachnie!

W istocie rozlegał się tam zabijający odór gorzkich migdałów, który w połączeniu z wonią różnych kwiatów, i z gorącem dochodzącem do dwudziestu kilku stopni na ciepłomierzu Réaumura, tworzył atmosferę niezmiernie duszną. P. Zamecki opowiedział gościom w sposób humorystyczny, jak jego żona, podejrzywając klucznicę o rozrzutność, zabrała mydło pod swoją własną dyspozycję, i jak następnie, chcąc doprowadzić miejsce posiedzeń klubu do jak największej świetności, zamiast zwykłego mydła wydała słudze mydełko toaletowe, którego Houbigant - Chardin w Paryżu sprzedaje po dziesięć franków sztukę. Śmiano się niezmiernie z tej pomyłki, śmiał się i pan Alfred, ale takim jakimś bezdźwięcznym niewesołym śmiechem, jak gdyby był przegrał całą swoją kasę w maczka i chciał udać, że mu to nic nie wadzi.

— Waza na stole! — zameldował w tej chwili kamerdyner.

— Co, już? Wszak nie ma jeszcze pierwszej! — zauważył p. Zamecki.

— Kazałam umyślnie dać objad nieco wcześniej — powiedziała pani Helena od niechcenia — bo mamy przecież jakieś plany na dzisiaj, po objedzie. Tymczasem kucharz wypełnił moje polecenie zbyt gorliwie, i nadto wcześnie zgotował szparagi, które nie znoszą czekania...

— A, szparagi, to co innego — zawołał pan Tadeusz wesoło. — Wszystkie inne względy muszą ustąpić przed szparagami!

Dla czego p. Alfred pobladł tak okropnie, gdy pani Helena tłumaczyła powody przyspieszenia pory objadowej? Dla czego i ona mówiła jakoś inaczej, niż zwykle, i tak dziwnie jakoś zaciskała usta? I co się stało Helence, że wziąwszy za rękę Wacława, spojrzała mu w oczy z takim wyrazem przerażenia? Wacław nie umiał zdać sobie sprawy z tego, a p. Tadeusz, proboszcz i panna Wanda nie zwrócili najmniejszej uwagi na te szczegóły.

Objad odbył się wesoło i szybko; pociąg, który wiózł p. Karola i dr. Chimerskiego nie przebył jeszcze był połowy drogi do Korytnicy, gdy już wstano od stołu. Wówczas p. Alfred przypomniał sobie, że jeden z jego koni zgubił podkowę, i że musi pójść zobaczyć, czy woźnica pomimo święta potrafił dać sobie radę z tą trudnością. Reszta towarzystwa udała się na werandę.

Na prawo od drzwi parapetowych, prowadzących z salonu, stał tam stolik z przyborami do czarnej kawy. Między pięknemi porcelanowemi filiżankami, przeznaczonemi dla wszystkich obecnych, odbijała tam przepyszna filiżanka srebrna z wypukło rzeźbionemi ozdobami, herbami i cyframi, wewnątrz wyzłacana. Była to owa specjalna filiżanka p. Tadeusza, z której zawsze pijał kawę po objedzie, która towarzyszyła mu w podróżach, i którą w pierwszym roku po ślubie, darowała mu była kochająca żona. Pani Helena, która zawsze sama zajmowała się kawą, i doprowadziła była do wielkiego mistrzowstwa w tym kierunku, zwróciła się w tę stronę. Na lewo był okrągły stolik marmurowy, na podstawie z lanego żelaza, na który po uprzątnięciu przyborów gastronomicznych, wkładano blat drewniany obity zielonem suknem, gdy klub przystępował do przepisanej ilości robrów wista. P. Tadeusz zajął najdalsze miejsce, po jego prawej rece siadł proboszcz, na lewo zostawiono fotel dla p. Alfreda, naprzeciw p. Zameckiego umieszczono Wacława, tak, że obrócony był plecami do stolika z kawą. Panie nie pijały kawy i siadały zwykle opodal.

Atmosfera była coraz bardziej duszącą. Ogromnie ciężkie, czarne chmury podniosły się były na widnokręgu podczas objadu, i zasłoniły słońce. Powietrze, napełnione silnemi odorami, było tak piekące, tak duszne, że nie podobna było oddychać niem nawet najzdrowszym i najmłodszym płucom.

— Podobnoś nic nie będzie z naszej wycieczki — rzekł p. Tadeusz. — Będziemy mieli burzę.

— Mniejsza o to — odparł proboszcz — ale bodaj czy nie jak zwykle przy takich zmianach powietrza, nie powtórzy się pański atak astmy. Zdaje mi się, że pan oddychasz z trudnością.

— W istocie, niedobrze mi trochę — ale to przejdzie.

— Może ci będzie lepiej, gdy się napijesz czarnej kawy — mówiła pani Zamecka. — Podam ci ją zaraz, nie czekając na p. Zgorzelskiego.

— Ale bądź tak dobrą, moja duszko, i nie dawaj mi dużo cukru.

— Wrzucisz sam, ile zechcesz, włożyłam tylko jeden kawałek w filiżankę, i to prawdziwie homeopatyczny.

W tej chwili wrócił p. Zgorzelski, któremu pot kroplisty wystąpił był na czoło. Włosy miał w nieładzie, a na starannym jego ubiorze widać było ślady, że przed chwilą miał do czynienia z słomą. Zapewne, jako dobry gospodarz i amator koni musiał być w stajni. Lokaj przeniósł tacę z maszynką i filiżankami na stolik, przy którym siedziało towarzystwo.

— Oto jest... twoja filiżanka — odezwała się pani Helena urywanym głosem. Helenka popatrzyła na nią z wzrastającym niepokojem. Nawet p. Tadeusz zauważył jakąś zmianę w jej zachowaniu się, i spojrzawszy na nią, powiedział:

— Musisz mieć znowu migrenę; jesteś tak bladą, jak wczoraj.

— Gdybyś ty wiedział, jakiś ty blady! O mój Boże, czemu tu nie ma doktora Chimerskiego! Wandziu, proszę cię, ponalewaj panom kawy — wszak potrzebujesz tylko odkręcić kurek od maszynki. Pójdę na chwilę do ogrodu... głowa mię boli okropnie...

Panna Wanda przystąpiła do czynności, którą jej polecono. Przypadek chciał, że w chwili, gdy pani Helena chciała opuszczać werandę, jakaś część jej stroju zaczepiła się o gałązkę dzikiego winogradu, osłaniającego werandę. P. Alfred rzucił się zwykłą swoją galanterją, ażeby jej dopomódz. Jednocześnie panna Wanda, nalawszy kawy gościom, przysunęła była filiżankę p. Zameckiego do maszynki, kiedy ten ostatni zrobił nagle ręką giest wstrzymujący, i biorąc łyżeczkę, wyjął z filiżanki jeden z dwóch kawałeczków cukru, które się w niej znajdowały.

— To będzie dosyć — powiedział.

Helenka nie spuszczała go z oka. Coś jej mówiło, że powinna wstać, wyrwać mu z ręki kawę, i nie dopuścić, żeby ją wypił. Mimo to siedziała nieruchoma, niezdolna prawie ruszyć się z miejsca. Pani Zamecka i p. Alfred, odwróceni w stronę ogrodu, nie mogli uważać tego zajścia, tak drobnego. Pani Helena była zresztą już na schodach, sprowadzających z werandy. Alfred szepnął jej do ucha:

— Idziesz!

— Na chwilę... tak będzie lepiej...

W tem, jakiś ruch niezwykły dał się słyszeć w salonie. Pani Helena wróciła się i spostrzegła że p. Tadeusz spokojnie pije kawę. Przez chwilę wlepiła w niego wzrok przenikliwy i nabrała pewności, że wszystko idzie, jak ułożyła. Od czasu do czasu z trudnością chwytał powietrze w piersi i tarł ręką czoło, jak gdyby dostawał zawrotu głowy.

— Możebyś pan wrócił do pokoju, tam chłodniej — mówił ks. Chyżycki. — Widocznie panu bardzo niedobrze.

— Nic, to przejdzie — była odpowiedź.

— Co tam jest takiego?—zawołała naraz p. Zamecka, zwrócona do salonu. — Czego chce Andrzej?

Naraz i Andrzej, i gumienny pojawili się w drzwiach.

— Pali się, proszę pana — przemówił. — Gumno się pali!

— Tadeuszu! Tadeuszu! — krzyknęła pani Helena, i wraz z wszystkimi obecnymi rzuciła się ku niemu. P. Zamecki powstał był z miejsca, chwycił się ręką za serce, wywrócił oczy w słup i upadł bez przytomności.

Nie podobna opisać zamięszania, które powstało. Nikt nie myślał o pożarze, o którym doniósł Andrzej, wszyscy usiłowali cucić bezprzytomnego. Pani Helena była prawie bezprzytomną. Przeniesiono p. Zameckiego do salonu i złożono go na kanapie, ona klęczała przy nim, z twarzą przyłożoną do jego piersi, i trzymając jego rękę w swojej. Od czasu do czasu wołała rozpaczliwie, że nie może spostrzedz ani oddechu, ani pulsu. Tymczasem konie, na prędce zaprzężone, pędziły po dr. Feilesa, a ks. Chyżycki, przerażony całym wypadkiem, biegł do domu wśród burzy i ulewy, która się była rozszalała. Staruszek pomimo, a raczej właśnie dla tego, że nie lubił bigoterji, całem sercem lgnął do swojej wiary i chciał konającemu nieść pociechę, której ona udziela. Helenka blada, bez głosu, bez łez, stała z załamanemi rękoma opodal od pani Zameckiej. P. Alfred nie miał odwagi ruszyć się z werandy. W mig pojawił się dr. Feiles. Pomacał puls, przyłożył ucho do serca, kazał przynieść zwierciadło i przytknął je do ust chorego, poczem potrząsł głową i oświadczył poważnie:

— Tu już nie potrzeba ani doktora, ani księdza. To jest *ein Herzschlag*. Ja to zawsze mó-

*

wiłem, ja to wiem najlepiej. Te młode doktory, te młode doktory!

Helenka ocknęła się w tej chwili ze swego odurzenia, i z łkaniem rzuciła się do nóg p. Feilesowi, całując go po rękach i zaklinając, ażeby ratował jej ojca, jej dobrodzieja. Wacławowi pękało serce, a w umyśle jego toczyła się walka, czy ma naprowadzić lekarza na trop strasznych domysłów Helenki. Nakoniec zdecydował się wziąć go na stronę i zapytać, czy nie uważałby za stosowne użyć emetyku i zimnych okładów na głowę. Wacław nie miał wyobrażenia o zupełnym braku wiedzy u p. Feilesa, gdy więc ten odparł jego propozycję z całej wysokości swojego uczonego stanowiska, Wacław chciał przekonywać go umiejętnie i zapytał, czy nie ma pod ręką siarkanu żelaza, ługu potażowego i kwasu chlorowodowego. Są to ingredjencje, za pomocą których każdy chemik zdoła skonstatować obecność sinku potasu w jakimkolwiek rozczynie. P. Feiles wypatrzył się na młodego człowieka ze zdziwieniem, i nazwał go warjatem. Wśród tej rozmowy pani Zamecka odzyskała była cudownym sposobem całą swoją przytomność i energję. Rozkazała przenieść ciało swojego męża do jego pokoju, i złożyć je tymczasowo na balzaku, poczem zamknęła drzwi od tego pokoju na klucz, który włożyła do kieszeni. Wacław nie mogąc dojść do końca z doktorem, chciał pomówić z Helenką i zastał ją słaniającą się z płaczem u drzwi, które zamknęła była pani Helena. Usiłował podnieść ją i uspokoić, ale oprócz łkania i urywanych słów, jak: Mój ojciec... zabili go, zabili! nie dawała mu innej odpowiedzi. W tej chwili pojawiła się pani Helena, w towarzystwie p. Alfreda, odprawiwszy p. Feilesa z zapewnieniem, że balsamowanie zwłok jemu będzie powierzone.

Przystąpiła do Helenki, pochwyciła ją silnie za ramię, podniosła i zawołała ostrym, dzikim głosem, odpychając ją od siebie:

— Panna nie ma tu co robić! panna może wracać do domu!

Helenka oniemiała, patrząc w jej twarz, nad wszelki wyraz zmienioną. Machinalnie dała się wziąć za rękę Wacławowi, który odtrącając pogardliwie na bok p. Alfreda, stanął między nią a panią Zamecką.

— Zobaczymy, co będzie do zrobienia! ozwał się groźnie. Na razie, chodźmy, panno Heleno, chodźmy do mego ojca!

Pani Helena cofnęła się była przed jego stanowczym wzrokiem, ale gdy wyszedł z Helenką, roześmiała się szyderczo.

— Cha cha, panicz zły, że wymknął mu się Rymiszów z przyległościami! Niech nas to nieobchodzi, Alfredzie. Staraj się tylko być tak przytomnym i zimnym, jak ja nią jestem.

W istocie, spokój jej był podziwienia godnym, ale nie był to spokój naturalny. Składało się na niego najwyższe natężenie wszystkich władz fizycznych i umysłowych, natężenie, do którego zdolnemi są niektóre natury.

— Kasa zamknięta, dodała po chwili. Chciałam zobaczyć, czy przecież nie ma testamentu, ażeby go zniszczyć zawczasu. Wyjdź i zobacz, co się dzieje, a ja pójdę wziąć klucze.

— A tak, klucze, klucze, powtarzał p. Alfred mechanicznie, bo jego natura nie była zdolną do żadnych wysileń, i wypadki, w których brał udział, odurzyły go były, otumaniły zupełnie. Gdzie są klucze? dodał.

Miał je przy sobie, w kieszeni.

— I ty pójdziesz je wyjąć!

— Alfredzie, zmiłuj się, nie trać głowy! Ty nas jeszcze skompromitujesz twoim przestrachem i twoim brakiem zimnej krwi! Przebyliśmy, co było najtrudniejszego, teraz trzeba korzystać ze zwycięstwa. Idź i staraj się przyjść do siebie.

Odszedł więc p. Alfred i błąkał się po zamku jak widmo, ku zdumieniu wszystkich domowników, którzy jakkolwiek przerażeni katastrofą, z zachowania się jego i p. Zameckiej poczęli w duchu domyślać się, że coś się jeszcze święci nadzwyczajnego. Jeden tylko p. Feiles, schowawszy do kieszeni bajeczne honorarjum, którego mu pani Helena wręczyć nie zapomniała, odjechał zupełnie zadowolony i opowiadał każdemu, kogo spotkał, że p. Zamecki przerażony wiadomością o pożarze na folwarku, umarł tknięty apopleksją, którą on, Feiles, przepowiadał oddawna. Wersji tej udzielił p. Feiles także p. Skryptowiczowi i dr. Chimerskiemu, którzy na wózku najętym w Korytnicy zdążali do Rymiszowa, wśród ogromnej ulewy. Zdaleka już mogli widzieć tłumy włościan, cisnące się na podwórzu zamkowem. Pożar ugaszono bez trudności, w czem dzielnie dopomogła ulewa, ale na wieść o śmierci pana, co żyło spieszyło do zamku, i głośny płacz rozlegał się w koło.

— Ci ludzie nie są tak źli, jak sądziłem, rzekł dr. Chimerski. Ale otóż jest młody Roliński i pańska wychowanka.

— Czy nie mogliście przeszkodzić temu, zawołał p. Karol głosem pełnym wyrzutu, wyskakując z wózka i zwracając się do Wacława i Helenki.

— Teraz nie czas robić wyrzuty, panie Karolu, przerwał mu dr. Chimerski, spieszmy, spieszmy, może jeszcze nie wszystko stracone!

Z temi słowami, p. Skryptowicz, doktor, Wacław i Helenka przebiegli zamek i wkrótce znaleźli się w pokoju, z którego przed chwilą pani Zamecka kazała wyjść Helence. Drzwi do sypialni p. Tadeusza były otwarte. Doktor chciał rzucić się ku nim, gdy nagle rozległ się śmiech spazmatyczny, i w drzwiach tych pojawiła się pani Helena. Krok jej był chwiejny, oczy obłąkane, włos w nieładzie, w ręku trzymała klucze od kasy ogniotrwałej i śmiała się dalej, dziko, okropnie, potrząsając swoją zdobyczą i tocząc w koło wzrok, w którym widać było aż nadto wyraźnie, że nie poznawała nikogo. Nie mówiła ani słowa, ale lekarzowi wystarczył jeden rzut oka, ażeby w danych okolicznościach osądzić, co się stało?

Co się stało? Pani Helena przystąpiła była do otomanki, na której męża jej złożono. Przeszukała jego kieszenie, i w jednej z nich znalazła klucze. Przez cały ten czas nie straciła ani na moment swojej zimnej krwi i swojego piekielnego spokoju. Naraz, gdy już miała odejść, p. Tadeusz westchnął głęboko i obrócił się na bok. Drgnęła, i zakryła oczy rękoma. Tak stała przez chwilę, nim zapanowała znowu nad sobą o tyle, że mogła nachylić się k i niemu. Zmysły nie myliły jej — oddychał — żył! Gdy się podniosła, żyła i ona, ale jeszcze tylko ciałem należała do żyjących. Siły jej, natężone od dłuższego czasu w sposób prawie nadludzki, nie zniosły tego uderzenia. Była obłąkaną....

Doktor Chimerski odsunął ją na bok i przystąpił szybko do chorego. Helenka słyszała jeszcze tylko okrzyk w pół radości, a w pół zdziwienia, który się wyrwał z piersi lekarzowi. Był to okrzyk:

— Żyje! — Usłyszała go i upadła zemdlona w objęcia Wacława.

(Dok. nast.)

Listy z Florencji.

Florencja dnia 14. stycznia 1876;

(Dokończenie.)

August Montanari, autor kilku dzieł ekonomicznych i prof. w uniw. padewskim ogłosił broszurę: *Mikołaj Kopernik i jego pismo: de monetae eudendae ratione* (Padwa, 1873, str. 32 in 8⁰), gdzie z całą znajomością rzeczy rozbiera ekonomiczno-społeczne poglądy naszego astronoma i przyznaje mu pod tym względem wysoką bystrość umysłu i jeden więcej tytuł do nieśmiertelnej chwały. Wkrótce w przekładzie polskim ogłosimy to dziełko. Słynny astronom medjolański Schiaparelli objaśniwszy ułamki autorów greckich i łacińskich, które nam przekazały pojęcie o ruchu ziemi, prawdami i wywodami gwiaździarskiego umnictwa, napisał uczone i wielce zajmujące dzieło *O poprzednikach Kopernika w starożytności* (Medjolan, 1873, str. 51 in folio). Praca ta jest arcydziełem w swoim rodzaju i zupełnie wyczerpuje przedmiot, jak się o tem niezadługo przekonają czytelnicy z mojego polskiego przekładu. Liczna bibljografja Kopernikowa posiada wiele cennych publikacyj, ale podobnej doniosłości co dzieło Schiaparellego, znamy tylko dwa dzieła, niestety ze wstydem wyznać musimy wydane przez Niemców, to jest: toruńska edycja dzieł Kopernika i *Spicilegium Copernicanum* Hiplera. Trzy te prace dla każdego badacza życiorysu Kopernika są niezbędne, owszem stanowią podstawę krytyczną dotychczasowych poszukiwań — reszta zaś publikacyj o Koperniku jest użyteczną wprawdzie, ale i bez niej obejść się można.

W ścisłym związku z powyższą pracą znajduje się publikacja prof. Andrzeja Zambelli, który w dziełku zatytułowanem *Postępy Astronomji w ostatnich czasach* (Wenecja, 1873, str. 73 in 8⁰) ogłosił trzy popularne wykłady prof. Eljasza Millosevi'cna (Millosewicza), jakie tenże miał w Weneckiem Ateneum o rozwoju astronomji od czasów Kopernika aż do dziś. O wartości tej publikacji łatwo sobie każdy sformułuje zdanie, gdy mu powiem, że dziełko prof. Zambellego jest skróceniem popularnych wykładów, i że było napisane dla feljetonu *Gazety Weneckiej*, z której jest odbitką. Zawiera wprawdzie wiele ciekawych szczegółów, ale takowe dając tylko ogólne wyobrażenie o kwestji, badaczowi zadnej pomocy nie przynoszą.

Z ostatnią wreszcie publikacją wystąpił Hektor Marcucci, tłumacz poezji Teofila Lenartowicza, który przełożył na język Italów *Dwie poezje o Koperniku* (Florencja 1874, str. 24 in 8⁰) jednę z polskiego, Władysława Kulczyckiego, a drugą z łacińskiego Alojzego Chryzostoma Ferrucci. Pierwszy utwor znacie oddawna, bo był w swoim czasie ogłoszony w *Dzienniku Polskim* — na poznaniu drugiej nie wiele zyskacie, bo jest ciężką, mglistą elukubracją starego klassyka.

Od dzieł naukowych przechodzę do sztuki i podzielę się z wami wiadomościami, które polską publiczność bliżej obchodzą. W ostatnich latach ukazało się w teatrze italskim kilka sztuk wziętych z historji polskiej, jak *Wygnańcy na Syberji*, *Familja*, *Litwini* i *Wanda*. Sam tyuł wskazuje treść pierwszego dramatu. Również stary kapitan wygnaniec z Syberji wchodzi w skład komedji *Familja* i przedstawia bardzo szlechetną i poważną rolę. *Litwini* opera A. Ponchiellego napisana jest podług libretta A. Ghislanzoniego, które jest streszczeniem poematu Mickiewicza *Konrad Wallenrod*. Dla poznajomienia Italów z tą legendą litewską, czy też epizodem historycznym, a zarazem dla objaśnienia utworu Ghislanzoniego F. Fontana i Walerjan Busnelli wydali w Medjolanie dwa następujące dziełka: *Litwini* albo *Konrad Wallenrod*, nowella historyczna Adama Mickiewicza (str. 93 in 16⁰) i *Litwini*, historyczne wspomnienia szóstego wieku (str. 65 in 16⁰). O ile dziełko p. Fontany jest całkiem poważną pracą, dokładnie obznajmiającą z osobistością naszego wielkiego wieszcza (*Chi fu Adamo Mickiewicz* str. 7—10) i z jego utworem, który tu jest prozą opowiedziany i objaśniony wieloma szczegółami, wiadomościami i dopiskami — o tyle utwor p. Busnellego jest śmieszną elukubracją, godną tylko szarlatana, sprzedającego po groszu arje i śpiewki miłośne, a nie literata jakiejkolwiek byłby on wartości. Dość będzie opowiedzieć treść pierwszego rozdziału, aby przekonać was o bez-

stronności onego sądu. „Nie jesteśmy romansopisarzami i praca nasza za cel sobie obrała dać wam sprawozdanie z fantastycznego utworu Adama Mickiewicza, który nas przenosi w czasy szóstego stulecia“ (?!)

„W oknie starego zamczyska w Marienburgu siedziało cudnej urody 20-letnie dziewczę i rzewnie płakało. Dla czego? czy po śmierci swej matki, którą w kilka dni piersiowe cierpienie wyrwało z łona rodziny, czy po stracie brata, który w parę dni po śmierci matki zginął gdzieś bez słuchu, czy wreszcie obawa o życie swego ojca, Samuela, którego ciężka choroba na łoże powaliła — nie — a rzeczywistym łez powodem była miłość bez granic zmięszana z obawą i boleścią wstydu.“

„Jakkolwiek Samuel był jednym z najbogatszych książąt Litwy, Rachel, takie było imię naszej bogdanki — była żydówką i bardzo słusznie mogła przypuszczać, iż nie przystanie na jej małżeństwo z pięknym rycerzem, Eugenjuszem, który był chrześcijaninem. Oprócz szalonej miłości, jaką dla Eugenjusza pałała, a która niezaspokojona niechybnie stałaby się jej grobem, dwie inne przyczyny składały się na owe przezroczyste perły, które z rzęs jej sznurkiem się zsuwały po rumianem obliczu: obawa być skompromitowaną w obec świata i przeklętą przez surowego ojca w razie, gdy przyjdzie na świat dziecię przed ułożonem małżeństwem; a nadewszystko obawa być zdradzoną i porzuconą przez Eugenjusza, który z dniem każdym zdawał się być coraz więcej tajemniczym, roztargnionym, a zarazem coraz mniej czułym i zakochanym.“

„Należy wiedzieć, iż młodzi ci ludzie oddawna się znali, ale dopiero choroba ojca i pobłażliwość Sary, starej ochmistrzyni zamku, zbliżyła ich do siebie. Dowolnie widując się i całemi sam na sam zostając godzinami, popełnili błąd, który coraz częściej zaczęła opłakiwać nieszczęśliwa Rachel.“

„Długie zadumanie i płacz Racheli przerwała Sara, która jej oznajmiła rychłą wizytę Eugenjusza Huga Aubriot czekającego w ogrodzie, na sygnał wejścia do zamku. Otarłszy powieki i zasiadłszy do haftowania kazała Sara wprowadzić Eugenjusza, który rzeczywiście w krótce wszedł do pokoju. Smutek Racheli, a następnie usunięcie oblicza od pocałunku, zdziwiły bardzo Eugenjusza i zaczął się wypytywać o powody tej zmiany. Po długiem naleganiu wypowiedziała Rachel otwarcie, iż serce jej zawsze pełne miłości dla niego coraz bardziej staje się igrzyskiem ciężkich walk wewnętrznych, z których tylko jedna wątpliwość i bojaźń wychodzą zwycięsko. Różnemi argumentami, wynurzeniem swych afektów etc. starał się Eugenjusz uspokoić Rachel, ale mu się to nie udało, owszem wywołał płacz spazmatyczny, gdy odmówił jej prośbie aby natychmiast prosił Samuela o jej rękę. Przykra rozmowa podejrzliwych kochanków przerwaną została nadejściem Sary, która oznajmiła im, iż Samuel podniósłszy się z łóżka prosto zmierza do pokoju Racheli. Rozstali się kochankowie na wieczór naznaczywszy sobie schadzkę — a Rachel nie mogąc ukoić wzruszeń różnorodnych stanęła w oknie wychodzącem na ogród i rzewnie płakać poczęła tak, iż nie spostrzegła nadejścia ojca, który stojąc we drzwiach przez chwil kilka z całą miłością rodzicielską przypatrywał się jej smętnemu obliczu.“

Tak się kończy pierwszy rozdział, zatytułowany *Miłość* i niewidzę potrzeby nudzić czytelników powtarzaniem treści siedmiu następnych rozdziałów, do których wątek nie dzieje Litwy i Krzyżaków, ale dziwnie bujna wyobraźnia p. Busnellego dostarczyła materjału. *Sit ei fama levis!* W końcu listopada r. z. w tutejszym teatrze Pagliano dano kilkakrotne przedstawienie 3aktowej epery Wogrycza z Tryestu pod tytułem *Wanda*. Muzyka dość słaba, kostiumy raczej starorzymskie aniżeli słowiańskie, libretto niezgodne z prawdą historyczną, bo Wanda córka króla Sarmatów kocha namiętnie i miewa schadzki z Rydygierem księciem Rugii, a nie mogąc otrzymać przyzwolenia dworu i narodu na małżeństwo z nim i nie mogąc znieść wojny, która z tego powodu wynikła, z rozpaczy najpierw zabija Rydygiera w lesie na schadzce, a następnie z żalu po nim rzuca się w fale Wisły, po zgaszeniu ognia palącego się na cześć Białego Boga.

W ostatnich latach wzniesione zostały trzy pomniki polskie we Florencji, która dotąd prawie całkiem ich nieposiadała. W kościele *Sta-Croce* w pobocznej kaplicy obok pięknego sarkofagu hr. Zamojskiej stanął nagrobek hr. Zofji Cieszkowskiej, pochowanej tamże w 1825, kosztem jej syna tak zaszczytnie znanego na polu naukowem hr. Augusta Cieszkowskiego, a dłutem p. Teof. Lenartowicza. Nagrobek ma kształt wejścia do piramidy. Na dwóch schodkach umieszczone są bronzowe drzwi pokryte płaskorzeźbami, na górnej framudze drzwi umieszczony jest herb rodziny, a w trójkątnej niszy znajdującej się po nad tą framugą umieszczone jest popiersie Zofji. Całość pomnika wygląda bardzo oryginalnie i odrębnością swoją wyróżnia się od wszystkich innych pomników.

Na cmentarzu municypalnym *San Miniato* mamy obecnie dwa pomniki polskie — jeden w kształcie kaplicy całkowicie zbudowanej z białego i czerwonego marmuru, drugi bardzo skromny, lecz wdzięcznie się przedstawia.

Kaplica nosząca italski napis „Szlachecki grób książąt Sapiechów“ mimo że była wzniesioną podług planu biegłego tutejszego architekta de Fabris, i pochłonęła kilkadziesiąt tysięcy franków, nie tylko nie ma żadnego stylu, ale jest poprostu architektonicznym potworem godnym Indostanu lub Madagaskaru, ale nie słynnej z gustu i sztuki Florencji. W kaplicy tej spoczywają zwłoki księżnej Sapieżyny z Mazowska, zmarłej w kwietniu 1873 r.

Pan Tadeusz Barącz, wasz ziomek, jest autorem pomniczka dla śp. Jana Wężyka Rudzkiego zmarłego we Florencji dnia 30. stycznia 1874 roku. Na kolumnie cey też piedestalu ozdobionym w architektoniczne ornamenta umieszczony jest owalny medaljon zmarłego, wieńcem kwiatów przymocowany do kolumny. Na odwrotnej stronie owalu jest wyryty herb „Wężyk.“ Długi napis opiewający pracowity żywot Rudzkiego jako obywatela kraju, żołnierza, publicysty i artysty, złotemi literami jest wyryty na frontowej stronie prostokątnej kolumny. Prostota pomysłu i harmonja konturów, rozmiarów i linji wyróżnia ten pomniczek pomiędzy wszystkiemi innemi. Stanął on kosztem panny Anny Kucharskiej starej przyjaciółki i opiekunki zmarłego.

Na zakończenie dodam, iż do albumu polskiego przeznaczonego do Muzeum Buonarrottiego dotąd następujące pisma przesłały swe numera: wasz *Tydzień*, krakowskie *Szkice*, *Gazeta warszawska*, *Kłosy* i *Tygodnik ilustrowany*. Na 142 pism wychodzących w naszym kraju, przyznacie mi, iż stosunek ten jest bardzo rażący.

Dr. Artur Wołyński.

POGADANKI.

VIII.

Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu znalazłem temi dniami w pismie krakowskiem, nie należącem do stronnictwa „podporządkowującego“ adres do ks. kardynała Ledóchowskiego, w którym tenże nazwany jest nietylko „Wyznawcą,“ ale jeszcze także „krwią z krwi, i kością z kości naszych,“ czyli, innemi słowy, zaliczony jest do narodowości polskiej. Gdyby coś podobnego pojawiło się w *Djable*, można by to uważać za figel dość niewinny, ale w piśmie poważnem umieszczenie takiego adresu bez komentarza jest przecież trochę za grubym żartem. Można nie sympatyzować ze sprawą, dla której ks. Ledochowski przesiedział dwa lata w Ostrowie, można nie sympatyzować z jego osobą, ale drwić tak dotkliwie, to się nie godzi! Jak wiadomo, ksiądz kardynał nie liczy się sam do żadnego innego narodu, jak tylko do katolickiego, a jeżeli dał kiedy do poznania, że sprzyja jakiej narodowości więcej niż innej, to predylekcja ta jego tyczyła się zawsze chyba tylko Niemców. Nic nie może być boleśniejszem dla męża takich zasad, jak podobne zaliczanie go na gwałt do Polaków, nie oparte na niczem innem, jak tylko na tej analogji, że Polacy siadują zazwyczaj po kozach, a ksiądz kardynał siedział także. Potrzeba wszakże było uwzględnić, iż Polacy pokutują zwykle w turmach za to, iż niektóre władze w ich oczach są władzami obcemi, i że przeto odmawiają tym władzom posłuszeństwa zawsze i wszędzie, o każdym czasie i na każdem miejscu. Powodem zaś uwięzienia ks. kardynała było, iż władza, która mieni się boską, i władza, która mieni się pochodzącą od Boga, poróżniły się między sobą. Gdy się pogodzą i zleją się znowu w jedność, jaką tworzą zazwyczaj, ks. kardynał będzie znowu najlojalniejszym ich poddanym, i będzie jak dawniej w zakresie swojej władzy dążył do uśmierzenia buntowniczego ducha polskiego. Skoro tylko hołdy jego będą mile widzianemi na dworze berlińskim, ksiądz kardynał nie omieszka składać ich przy każdej sposobności, tak jak w r. 1870 był pierwszym duchownym katolickim, który pospieszył uderzyć czołem przed nowo sztyftowaną purpurą cesarską w Wersalu. Czerwony orzeł, czarny orzeł, i tym podobne drapieżne latawce będą w jego oczach równie uwielbienia godnem ptactwem, jak gołąbka Syonu. Wówczas też dostojny książę kościoła rumienić się będzie musiał przed własnem wiernopoddańczem sumieniem, jeżeli wspomni, że była chwila, w której złość i przewrotność pism liberalnych, a zbytek gorliwości pism nieliberalnych, zaliczały go do takzwanych męczenników sprawy polskiej, i stawiały go w jednym rzędzie z jawnymi buntownikami, z ludźmi nie szanującymi czwartego przykazania w jego rozciąglejszem znaczeniu.

Gdy się rodzice poróżnią, gdy np. ojciec-kościół i matka-cesarz żyją w separacji, i szykanują się nawzajem w sądach i pismach publicznych, najbardziej wzorowe dzieci bywają właśnie w najtrudniejszem położeniu: nie podobna bowiem uszanować, jak należy, jedną stronę, a nie uchybić drugiej. Przyznaj słuszność matce, a wydziedziczy cię ojciec; stań po stronie ojca, a matka ci nie da podwieczorku. Jeżeli zaś matka, jak w tym wypadku Wielka Germania, ma na swoje rozkazy półtora miljona żołnierzy, a ojciec miljardy klątw i wszystek ogień piekielny, rozterka staje się jeszcze bardziej opłakaną. Potrzeba być bardzo nieludzkim, ażeby w takim wypadku śmiać się z dziecka, że nie dostało podwieczorku, i stało w kąciku na pokucie. Mam to za złe *Szkicom*, iż dopuściły się takiej nieludzkości, i przywitały ks. kardynała takiem umyślnem qui-pro-quo adresowem. Adres, jeżeli miał sprawić przyjemność Jego Eminencji, powinien był być napisanym po niemiecku, i obok jej cnót kościelnych, powinien był także kłaść nacisk na jej niczem niezachwianą i wypróbowaną wierność dla tronu Hohenzollerów, na jej chwalebne zabiegi około wprowadzenia języka niemieckiego w kościoły wielkopolskie, i na czysty patrjotyzm pruski, z jakim też Eminencja do kwaśnogorzkawego: *hoch!* królów i książąt niemieckich przyłączyła swoje słodkie *salvum fac imperatorem* w chwili wznowienia cesarstwa niemieckiego. Na końcu, adres mógł wyrażać nadzieję, że dzisiejsze złe przeminie, że władza świecka pojedna się z duchowną, i że jak niegdyś od Elby aż po za Odrę krzyż w rękach niemieckich wytępił ludy słowiańskie, tak i nadal biskupi wspólnie z landratami torować będą kulturze germańskiej drogę ku Wiśle i po za Wisłę.

Ma wszakże ten adres, wydrukowany w *Szkicach*, oprócz niewcześnie satyrycznej swojej strony, jeszcze inną, nierównie gorszą. Jeżeli bowiem ks. kardynał będzie się czuł boleśnie dotkniętym tą

żartobliwą nominacją na męczennika sprawy polskiej, to jest w tem tylko niedelikatność ze strony autorów adresu i nic więcej. Ale jak przebłagać cienie prawdziwych naszych męczenników za to bluźnierstwo, które w ich święty poczet zaliczyło czystej wody patrjotę pruskiego? Jak przebłagać cienie, na których koronę męczeńską plwa, i której urąga obóz księdza kardynała w swoich *Kurjerach*, *Czasach* i *Przeglądach?* Jak przebłagać te cienie, tak mało uczczone, podczas gdy zaprzańcom nie szczędzi się kadzidła? Na to pytanie, niechaj *Szkice* odpowiedzą, odczytawszy uważnie własny swój artykuł, odpowiadający *Czasowi* na jego głos w sprawie obchodu rocznicy styczniowej.

Jan Lam.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Dr. Richard Roepell Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, Gotha 1876.*)

Żadno stulecie naszych dziejów nie było przedmiotem tak powszechnej w ostatnich czasach uwagi, nie wywołało na widok publiczny tylu źródeł, tylu opracowań, jak wiek XVIII. Pamiętniki, korespondencje, monografje, powieści, słowem najrozmaitsze publikacje wpłynęły i wpływają do literatury, gromadząc się w obfity materjał dla historyka, którego ten okres ciągle wyczekuje. W szczególniejszem zainteresowaniu się wypadkami tego okresu nie widzimy nic zagadkowego. Kolejom naszego życia nie było przeznaczono rozwijać się w poplątanych skrętach, droga po której szedł naród jest dosyć prosta, równa i rzec można monotonna. Dopiero przy końcu załamuje się ona gwałtownie, otwierają się w niej przepaści, piętrzą góry, rozpoczyna się gorąca walka, rozpaczliwa obrona z jednej i dzikie natarcie z drugiej stony. Na polu nieszczęśliwej zasadzki, w której naród poraniono i odarto, zostały tylko ślady gwałtu, które z początku coś powiedzieć mogły o przebiegu walki. Ofiara zbyt ogłuszona, bezprzytomna, nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie i uporządkować szczegółów swego nieszczęścia, jej morderca znowu zbyt był przezorny i winny, ażeby je chciał na własną sromotę wiernie opowiadać. Po nad dobą więc całej katastrofy rozpostarł się ponury cień tajemnicy, którą każdy chciał przeniknąć ale większość cofała się z bojaźnią. Wiek XVIII roztoczył się w naszej historji jakimś okropnym cmentarzem, jakiemś miejscem na którem straszyło.... Dopiero w naszych czasach oświetlono ten cmentarz, rozkopano groby, wywołano z ukrycia tych, którzy z ogólnej rzezi ujść i schronić się zdołali, wypytano się żywych, zbadano umarłych i tym sposobem zaczęto składać i kombinować dzieje smutnej katastrofy. Proces ten trwa do dziś, a chociaż go zaciemnia jeszcze wiele tajemnic, można przynajmniej główne jego punkta rozjaśnić. Rozumie się nie ma nic naturalniejszego, jak zaciekawienie ogółu do tego badania i gorliwość tych, którzy za nim śledzą. Na szczęście naszej o nim wiedzy, materjały mnożą się obficie, na nieszczęście zaś jej, nie zawsze występują one na widok publiczny z dostatecznemi świadectwami wiarogodności. Już mamy np. całą serję Pamiętników XVIII wieku, nie mamy jednak dotąd ich krytyki. Jest ona zaś jeszcze potrzebniejszą nauce niż czytelnikom zwykłym. Wydawca puszcza w świat jakiś pamiętnik z zapewnieniem jego autentyczności, czy jednak fakta podane w tym pamiętniku są prawdziwe, czy je autor czerpał z dobrych źródeł, i czy posiadał dość historycznego sumienia w ich przedstawieniu — o tem nic nas nie zapewnia. Nieraz nawet zdaje się, że wydawcy umyślnie nie zdzierają z tych publikacyj uroku bajki, ażeby one działając na imaginację masy, tem silniej ją do siebie przyciągały. Bądź co bądź, jest to stan rzeczy wcale niepożądany. Literatura winna prowadzić bardzo dokładny rachunek, skrupulatnie zapisywać i oddzielać to, co należy do świadectw istotnie historycznych, od tego, co jest fantazją na ich temata. Tymczasem w naszem piśmiennictwie oba te elementa tak się zmięszały, że ogół często przypisuje tyleż prawdy pamiętnikom Bukara co i Kraszewskiego.

Nie wiele jest rodzajów naszej literatury, któreby posiadały dla każdego ten stopień interesu, jaki wzbudzają wszelkie publikacje odnoszące się do epoki naszego politycznego upadku. Ztąd też jest pewnym obowiązkiem każdego pisma ogólnej treści, czytelników swoich z główną osnową tych publikacyj zapoznawać. Niedługo zaczniemy jeszcze troskliwiej niż dotychczas wywiązywać się z tego obowiązku, dziś zaś przedstawimy zawarcie pracy w tym dziale najświeższej, obcej i ważnej.

Czem była polska rzeczpospolita w połowie XVIII w.? Z którejkolwiek strony na nią spojrzymy,— odpowiada Roepell, zewsząd doznamy tegoż samego wrażenia beznadziejowego upadku, którego nasiona oddawna już spoczywały w łonie narodu, dojrzały jednak zupełnie dopiero pod panowaniem obu saskich Augustów. Od tej chwili zaczęło się polityczne i społeczne rozprzężenie, naród się rozpadał i upadał bez ratunku i ocalenia, „panowie“ wszystkiemi siłami ciągnęli go w przepaść, która wreszcie i ich samych wraz z całą niecnotą pochłonęła. „Jednem słowem: rzeczpospolita oddaną była na pastwę interesom, intrygom, i stronniczym zapasom wielkich panów i obcym sąsiednim mocarstwom. Bo panowie oddawna nawykli łączyć się z tymi ostatnimi dla uzyskania opieki i poparcia przeciw swym nieprzyjaciołom i królowi, dla wysłużenia sobie orderów i pensji. Królowie — pisze dalej Roepell cytując słowa Kalinki — umierali, naczelnicy opozycji zmieniali się, nieustannie jednak odnawiała się w narodzie skłonność do szukania obcej pomocy przeciwko własnemu rządowi, aby go obalić.“ W obec tych pokuszeń nie mógł żaden król utrzymać się na tronie bez cudzego poparcia. Sam naród go do tego zmuszał i ściągał obce mocarstwa do kraju, nie pomnąc, że z tego musiała ostatecznie wyniknąć zależność od zagranicy. I tu krzyczące nadużycie wolności zaprowadziło do poddaństwa. Już Jan Kazimierz nieszczęsną naszą przyszłość trafnie wywróżył. „Bodajbym był fałszywym prorokiem — rzekł do zgromadzonych Stanów — lecz grozi nam podział rzeczypospolitej: Moskwa zawładnie Litwą, Brandeburczyk sięgnie po Wielkopolskę i albo się porozumie, albo walczyć będzie ze Szwedem o Prusy; nawet Austrja, chociaż żywi najczystsze zamiary nie zapomni o sobie, zagarnie Kraków i sąsiednie dzielnice.“ Cały wiek upłynął zanim się to proroctwo spełniło. Pośród ogólnego obłędu nie brakło jednak głosów, które trzeźwiej patrzyły na znamiona politycznej choroby, i starały się jej radykalną reformą zapobiedz. Karwicki, L. Garczyński, wreszcie Leszczyński wystąpili z publicznemi radami zalecając rozmaite zaradcze środki, zgadzając się wszakże w zasadzie nadania stosunkom państwowym innej formy.

(C. d. n.)

Listy z Wenecji.

Wenecja d. 29. stycznia 1876.

Ze świętami Bożego Narodzenia, cicha i spokojna Wenecja zmienia się nagle w gwarną i ożywioną, przechodząc odrazu ze „Stagione morte“ w sezon gwarnego i hałaśliwego karnawałowego życia. Pałace opuszczone przez właścicieli znowu się ożywiają, bo wedle tutejszych zwyczajów, panowie najczęściej na święta wracają dopiero z wiejskich willi, dokąd udają się zwykle po ukończeniu pory kąpielowej na Lido, czas karnawałowy tylko i czas kąpielowy spędzając w mieście. W lecie tu zwykle ludno i gwarno, bo na kąpiele, prócz stałych mieszkańców zawsze 20 do 30 tysięcy forestierów z innych miast włoskich przybywa. W dni karnawału nie tyle ludno co w lecie, lecz stokroć hałaśliwiej i gwarniej. Teatra wszystkie przepełnione, a po ulicach i na placu Marka *Pulcinelli i Arlecchini* witają cię wrzaskiem i hałasem. Nowy rok, *il capo d'anno*, w życiu Włochów niepospolitą także odgrywa rolę, bo w ten dzień jest tu w zwyczaju dawać i odbierać życzenia i upominki. Ten zwyczaj przechowuje się we wszystkich warstwach społeczeństwa, zacząwszy od dworu; król wraz z życzeniami posyła prezenta i nawzajem odbiera; to też w gazetach tutejszych mnóstwo sprawozdań o tem, co komu w darze się dostało. Między innemi w tym roku król wraz z życzeniami, dostał od Garibaldiego koziołka przysłanego mu z Caprery, co odwzajemniając przesłał Garibaldiemu śliczną mozajkę i dwie statuety z bronzu przedstawiające: jedna Franklina, a druga Washingtona. Od księżnej Margherity pani Minghetti otrzymała śliczną wazę starożytną i bombonierkę z biletami: *Alla sua gentile cugina* — Margherita di Savoja — bo Minghetti jest cavaliere dell' Annunziata orderu dającego prawo, posiadającym go, mianować się kuzynami domu Savoja. Z Wenecji został przez księżnę Margheritę mile przyjętym artystyczny upominek przysłany jej przez pana Besarel, którego pracownię zwidzała tej wiosny, przyjechawszy na przyjęcie cesarza Austrji. Jest to wyrób z drzewa. przedstawiający dziecię przyklękające na łące w chwili, gdy zrywa *margherite* (stokrótkę) na około jest data dnia jej bytności w pracowni, i napis: *Il piu bel fior mi colsi* (najpiękniejszy kwiat zerwałem sobie). Wszyscyśmy admirowali myśl poetyczną i wykonanie mistrzowskie. W Rzymie Margherita przyjmowała teraz u siebie pana Giacosa, który jej osobiście przyszedł wręczyć swój znakomity utwor *Trionfo d' Amore.* Księżna dłużej niż pół godziny mówiła z nim o sztuce i poezji, cytując mu na pamięć długie ustępy wierszy z tegoż samego utworu, ustępy które silniejsze zrobiły na niej wrażenie. U was może by jej to za grzech (?) poczytano, że jest tak zacofaną, i jeszcze kocha poezję, lecz włoska prasa innych przekonań być musi, gdyż tu, w dziennikach politycznych nawet, bardzo często wiersze drukują. (I u nas także, prz. Red.) W *Rinnovamento* mieliśmy teraz bardzo udały wierszyk jednego z młodych weneckich poetów, Cezara Augusta Levi, odnoszący się właśnie do kwestji lagun, o której wam już w poprzednim liście wspominałem. Wiersz ten zatytułowany *Per l' esilio dei fiumi delle lagune di Venezia,* kilka innych włoskich dzienników jako reklamę powtórzyło. Posyłam go w przekładzie.

(Umieściliśmy w poprzednim numerze. (Prz. Red.)

Edmund Ł.

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Wissenschaft und Leben. Bilder aus dem Gebiete d. Natur und Technik. Eine Gaabe für Naturfreunde v. August Vogel. Nördlingen — Beck — 1875.

Książka powyższa jest dla tych wszystkich nader pożądaną, dla których życie wraz z codziennemi objawami ma pewien powab. Autor w 30 rozdziałach mówiąc o wodzie, powietrzu, pożywieniu roślinnem i mięsnem, o-

świetle, fotografji i kwestjach dotyczących życia naszego, umiał z prawdziwą nauką i ścisłością przedmiotu zająć czytelnika. Z każdego działu przyrody, o którym pouczyć pragnie, umieścił co dla czytelnika może być najbardziej zajmującem, wplatając w opowiadanie uwagi pełne głębokich myśli i gruntownej nauki.

— Der junge Mathematiker und Naturforscher. Von Dr. Ferdinand Braune, Leipzig — Otto Spamer. 1876.

Autor wprowadza czytelnika zręcznem opowiadaniem w swiat tajemnic liczbowych, odtwarza mu cuda sztuki matematycznej, zaznajamia z poglądem na naturę w ogóle, i przytacza muóstwo przykładów celem ćwiczenia sądu i zapatrywań czytelnika na matematykę i nauki przyrodnicze w ogóle. Autor podzielił książkę na 25 ustępów, starając się formą wykładu uczynić ją przystępną dla młodszego pokolenia, co mu się jednak zupełnie nie udało. — Czytelnik musi już posiadać pewne wiadomości i nieco sądu własnego, aby mógł sobie z korzyścią to wszystko przywłaszczyć, czem go autor w tak popularno-umiejętny sposób zasila. — Dla tego książka ta będzie pożądaną dla młodzieży doroślejszej i z wielką przyjemnością czytaną, lecz niestosowną dla młodziutkiego świata, co właśnie było życzeniem autora.

Nowości

podawane przez księgarnię
SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO
we Lwowie.

Gorski Kazimierz. — Borys. Ustęp z dziejów dwunastego wieku w 8. Lwów 1876. 60 ct.

Hofmanowa Klementyna z Tańskich. — Dzieła. Wydanie nowe pod redakcją Żmichowskiej, tom I. w 8ce. Warszawa 1876. Cena całego dzieła w 12 tomach zł. 30. Cena pojedynczego tomu zł. 2·50.

Pamiętniki Feliksa Hr. Łubieńskiego ministra sprawiedliwości; skreślił i opracował Wł. Chomętowski w 8. Warszawa 1876, zł. 1·70.

No-sty W. — Serce niewieście. Nowella w 8. Warszawa 1876, zł. 1·70.

Złota książka. — Sławni ludzie w dziedzinie sztuk przemysłu, nauki i czynów wojennych; według Braudona, Ottona, Bartha przez K. P. i J. Gr. ozdob. wieloma rycinami w 8ce. Warszawa 1876, zł. 1·50. opr. w płótno czerwone zł. 2.

Dobre dzieci — Zacni ludzie. Szkoła mądrości i cnoty w przykładach z życia rzeczywistego. Z wielu drzeworytami. Spolszczył i własnemi pracami pomnożył Józef Grajnert w 8ce. Warszawa 1876, zł. 1·50 Opr. w angielskie czerwone płótno z wyciskami zł. 2.

Mały i wielki świat dziecięcy. — Zajmująca książeczka dla dzieci. Spolszczył i zastosował Józef Grajnert. Z wielu drzeworytami w 8ce. Warszawa 1876 zł. 1·50. Oprawna w angielskie czerwone płótno z wyciskami zł. 2.

Kraszewski J. I. — Z siedmioletniej wojny. Opowiadanie historyczne. Wydanie redakcji Bibljoteki Warszawskiej. 2 t. w 8ce dużej. Warszawa 1876, zł. 4.

Kraszewski I. J. — Jesienią. Powieść 2 t. w 8ce. Warszawa 1876, zł. 3.

Kosmowski Dr. Wikt. — Patalogja i terapia szczegółowa. Choroby zaraźliwe ostre. Przekład dzieła: Handbueh der acuten Infektionskrankheiten. 2ter Theil von Prof. Thomas, Curschmann, Zuelzer, Hertz, Zimsen 1875. Tom 2. w 8ce dużej. Warszawa 1876 zł. 8·50.

Mierzyński A. — Danae i Perseusz na wazie cesarskiego ermitażu w Petersburgu. Rozprawa archeologiczna w 4ce. Warszawa 1875, zł. 2.

Zieliński Wład. K. — Opis Lublina jako przewodnik dla zwidzających miasto i jego okolice. Z planem miasta w 16ce. Lublin 1876 — 68 ct.

Lear, Fanng. — Le Roman d'une Americaine en Russie Accompagné de lettres originales. w 8ce. Bruxelle, 1875, zł. 3.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— W zeszłym tygodniu mieliśmy przyjemność po dwakroć słyszeć w koncertach panią Carlottę Patti, śpiewaczkę europejskiej sławy a siostrę Adeliny. Z panią Patti odbywają podróż artystyczną pp. Sivori, skrzypek i Ritter, pianista. Głos pani Patti jest cudowny, rozległy i prawdziwie srebrnego dźwięku, a włada nim z nieporównaną wprawą. Każdy podziwiać musi jej gardło jako jedyny w swoim rodzaju instrument. Natomiast brak w jej śpiewie uczucia i deklamacji — śpiew jej zachwyci ale nie wzruszy. W każdym jednak razie oba koncerty Patti były prawdziwą artystyczną biesiadą dla naszych melomenów. P. Sivori, uczeń Paganiniego, jest obecnie jedynym reprezentantem szkoły swego mistrza, i odznacza się szczególniej biegłością palców doprowadzoną do doskonałości. Prawdziwą ozdobą obu koncertów była gra p. Rittera na fortepjanie: uderzenie miękkie i bardzo miłe, wyrobiona technika, a przy tem głębokie artystyczne traktowanie przedmiotów — oto zalety, które nam każą postawić p. R. w rzędzie pierwszych tegoczesnych pjanistów. P. R. jest uczniem Tausiga i godnym spadkobiercą jego artyzmu.

— Słynna włoska artystka Adelina Ristori, która prawie dwa lata temu puściła się w podróż artystyczną w około świata, niedawno przybyła do Kairu, zkąd powróciła do Rzymu, gdzie usunąwszy się już zupełnie ze sceny, stale osiąść zamierzyła. W czasie swojej podróży znakomita artystka grywała na rozmaitych scenach w Brazylji, a następnie w Buenos-Ayres i Montevideo. Ztamtąd przez cieśninę Magellańską popłynęła do Chili, Peru i Boliwii i przez międzymorze Panama wróciła na wschodnią stronę amerykańskiego lądu do zatoki Meksykańskiej. W Ameryce Północnej grywała przez jakiś czas w Nowym-Yorku, Bostonie, Filadelfji i w San-Francisco w Kalifornji dokąd przyjechała drogą żelazną. Z San-Francisco umyślnie dla niej najętym statkiem parowym odpłynęła na wyspy Sandwich, gdzie przyjmowano ją nieledwie z królewskiemi honorami. Z wysp Sandwich udała się do Australji, gdzie dawała szereg przedstawień w Sydney i w Melbourne, o których dawniej już robiliśmy wzmiankę. Zdaje się, że do czasów Ristori, żadna artystka nie odbyła tak dalekiej podróży i nie zwidziła tylu krajów na kuli ziemskiej.

— Berlińskie muzeum starożytności zakupiło kilkanaście lat temu, pewną ilość starożytnych wykopalisk, pochodzących z Jerozolimy, gdzie z łona ziemi miały być wydobyte. Zabytkom tym przypisywano niezmierną starożytność, epokę bowiem ich pochodzenia, oznaczono na 7 wieków przed Chrystusem, obecnie zatem liczyłyby one 2.500 lat istnienia. Za owe „moabickie zabytki," tak bowiem je nazwano, muzeum berlińskie, polegając na opinji berlińskich uczcnych, zapłaciło bardzo znaczną sumę. Tymczasem obecnie, dwaj uczeni bazylejscy, pp. Soein i Kautsch, wydali dzieło o owych moabickich zabytkach, które sprowadza zupełne rozczarowanie co do wartości owych waz, płyt i posążków glinianych. Bazylejscy uczeni dowodzą, iż owe drogie zabytki są dziełem żyjącego jeszcze w Jerozolimie garncarza, a na poparcie tego twierdzenia przywodzą rozmaite dowody, między któremi jednym z najważniejszych jest ten, że napisy, jakie noszą na sobie owe mniemane wykopaliska, nie wytrzymują najmniejszej krytyki. Rzecz zaiste dziwna, jakim sposobem prosty garncarz jerozolimski mógł tak dalece w błąd wprowadzić ludzi uczonych.

— Posąg Kolumba, przeznaczony dla Meksyka, znajduje się już w Vera-Cruz. Posąg jest tak olbrzymich rozmiarów, że nie może być dalej transportowany koleją przez tunel, ale na wozach będą go musiały ciągnąć muły przez góry.

— Obraz Makarta „Kleopatra" został zakupiony przez międzynarodowe muzeum Sachsa w Berlinie.

— Dnia 1go kwietnia będzie otwarta w Madrycie wielka wystawa dzieł sztuki. Dyrekcja wzywa zagranicznych artystów, aby przysłali swoje utwory.

— Dyrektor londyńskiego teatru Drury-Lane wydał świeżo p. t. „Poets and Profits" broszurkę, w której cyframi dowodzi, że na najpierwszych angielskich scenach tylko pantominy i sztuki sensacyjne robią pieniądze, a przeciwnie klasyczne dramaty sprowadzają niechybne finansowe fiasco. Goethego „Faust" ułożony na scenę przez Bernarda Bayle, zaledwie pokrył koszta przedstawienia. „Marino Faliero" Byrona spowodował 5.000 funt. szterl. (125.000 franków) straty, a Shakespeara „Antoniusz i Kleopatra" od 4 do 5 tysięcy funtów szterlingów. Przeciwnie „Formosa" dramat sensacyjny Dyonizego Boucicault dał zysku 10.000 funtów, a irlandzka tragedja „Peep o Day" (Jutrzenka) Falconera, przeszło 12.000 funtów. Spektaklowe sztuki „Amy Robsart" i „Rebeka," przerobione z powieści Walter-Scotta przynoszą prawie tyleż dochodu. Natomiast prawie wszystkie dramaty Shakespeara przynosiły teatrowi prawie zawsze straty.

— Pani Georges Sand wydała obecnie nowy swój romans p. t. „La Tour de Percemont" (drukowany w „Revue de deux mondes"), w którym przedstawia życie i obyczaje zamożnego francuskiego mieszczaństwa. Francuskie dzienniki wychwalają oryginalność charakterów, akcję pełną interesu i niezmierny wdzięk stylu, jakie znakomita autorka wykazała w tym najnowszym swoim utworze.

— Dla wiedeńskiego obserwatorjum sporządzają w Dublinie teleskop, który przewyższy wszystkie dotychczasowe. Długość jego będzie wynosiła 32 stóp. Instrument, którego koszta obliczono na 60.000 talarów, będzie gotowy dopiero w r. 1878.

Podróże i odkrycia.

— Z Bremy wyjeżdża niemiecka ekspedycja do najdalszych krańczyn Syberji. Wyprawa będzie się składała z trzech uczonych, a rozpocznie badania właśnie w tych częściach Syberji, które ubiegłego lata zwidził szwedzki podróżnik Nordenskiöld.

— Z Berlina wyjeżdża nowa, ale tym razem całkiem prywatna ekspedycja w głąb Afryki. Na jej czele stoi jakiś młody oficer, któremu cesarz udzielił dłuższego urlopu. Uczestnicy jadą własnym kosztem, i już kazali sobie zbudować statek przenośny. Z Włoch wyrusza także temi dniami wyprawa w głąb Afryki. Jej przywódzcą jest senator markiz Antinori.

— Znany podróżnik Cameron, który niedawno przeszedł całą Afrykę środkową, otrzymał od króla belgijskiego 100.000 franków.

— Mówiono, że pułkownik Gordon, który po Samuelu Bakerze podbija ekwatorjalne części Afryki, zginął w walce z dzikiemi plemionami. Tymczasem po dłuższej przerwie przyszły od niego listy, które te pogłoski całkiem zbijają. Pułkownik pisze z Duffle, donosi o śmierci ostatniego Europejczyka, i zawiadamia, że w miejscu, w którem obecnie się znajduje, bieg Nilu jest tak szybki, iż o użyciu statków nawet mowy być nie może. Tak więc trzeba będzie dać pokój dalszym badaniom górnego Nilu przy pomocy statków parowych.

— Profesor Palmieri donosi z Neapolu, że w kraterze Wezuwiusza daje się od czasu do czasu słyszeć silny huk, aparaty zaś w obserwatorjum są w bezustannem poruszeniu.

— W Pompei znaleziono bardzo dobrze zachowaną sikawkę, służącą do gaszenia ognia.

— Z Astros w Grecji donoszą, że odkryto tam statuę, noszącą napis „Menelaos-Helene." Byłaby to zatem pierwsza statua pięknej Heleny.

— „Rygski Wiestnik" pisze, że niedawno przy uprzątaniu jednej z komnat ratusza w Rewlu, znaleziono 14 skrzyń, o których istnieniu nikt nie wiedział, i które widocznie przeleżały tam kilka stuleci. Skrzynie te zapełnione były staremi papierami, znajdowało się w nich wiele starożytnych aktów i dokumentów, z których znaczna ilość posiada nawet historyczną wartość. Najdawniejszy dokument datuje z roku 1249; papiery te pisane są po większej części po łacinie, jest jednak pewna część pisanych językiem staro-niemieckim i szwedzkim.

Szkolnictwo.

— P. Roman Pilat, dotychczasowy docent prywatny, został mianowany nadzwyczajnym profesorem języka polskiego i literatury przy Uniwersytecie lwowskim.

ROZMAITOŚCI.

— W jednem z pism zagranicznych znajdujemy ciekawą charakterystykę dzisiejszej arystokracji rzymskiej opartą na faktach wiarygodnych. Pod tytułem: „Książę de Gallese" podaje autor szkic bardzo zajmujący, wzięty z życia i nakreślony wprawną ręką. „Rzymska arystokra-

cja — pisze on — utraciła już zupełnie swoje cechy wyłączne, które nosiła na sobie długie wieki. Dziś nie drzewo genealogiczne, jak to było dawniej wyrocznią i tytułem do poważania w jej kole, ale łaska i opieka potentatów. Ci, którzy jeszcze przed stu laty uważali każdego za parwenjusza, jeżeli przodków swoich nie znalazł między uczestnikami wypraw krzyżackich, którzy na pierwszych dostojników rzymskiego państwa, ba nawet na monarchów z lekceważeniem patrzyli, jeśli równie starem drzewem rodowem wykazać się nie byli w stanie, ci sami dziś popadli w drugą ostateczność, w zbyt wielką tolerancję. Porzuciwszy częściowo obłęd wiekowy sądzą obecnie, że na przemianę krwi czerwonej w „niebieską,“ nie trzeba koniecznie siły wieków; dla uzyskania tego samego rezultatu, nawet w jak najkrótszym czasie, wystarcza zupełnie nobilitacyjny dekret papieża. Ktokolwiek otrzyma dyplom szlachecki, na mocy jego przyjmowany bywa do sfery feudalnej arystokracji, jako równo z nią uprawniony, a nikt przedtem nie pyta, nikt nie dochodzi, czy rzeczywiście godnym był ów „ktoś“ tego wyszczególnienia, i jaką drogą je osiągnął. Dekret papieża ma walor bezwzględnej przepustki do zaczarowanego koła rzymskiego patrycjatu, i zawsze jeszcze zażywa najlepszej wiary, choć niejednokrotnie osoby podniesione w górę takim paszportem haniebnie zawiodły ogólne zaufanie. Nic dziwnego, gdy papizm nie ze szczególną ostrożnością postępował przy udzielaniu dyplomów szlacheckich. Szczęśliwi spekulanci giełdowi, na usługi Watykanu oddając część swoich zysków, zręczni intryganci, umiejący wśliznąć się w łaskę wpływowego kardynała, wczorajsi lichwiarze, którzy zmęczeni haniebnym zarobkiem, chcieli uczynkami pobożnemi zmyć winy przeszłości, wszyscy oni znaleźli furtkę, przez którą wcisnęli się za progi rzymskiej arystokracji „pur sang.“ Oczywiście, pieniądz odgrywał i odgrywa przy tem wielką rolę i znane „non olet“ (złoto nie cuchnie) rzymskiego cesarza, zdaje się, zmartwychwstało tam w całej pełni. Ciekawa zaprawdę czerń, a co gorsza, w większej części nie wielkiego godna szacunku, zapełnia rzymskie salony klerykalne, zasiada miejsca honorowe. Z wybitniejszych weźmy rodzinę Torlonia, dziś rzeczywiście najpoważniejszą w wiecznem mieście, która swoją mitrę książęcą zawdzięcza piekarskiemu wyzyskiwaniu jednego z swoich przodków. Stary ów Torlonia umiał korzystać z nędzy współbraci, i został księciem, bo się zbogacił olbrzymio głodem nieszczęśliwych. Wyznać trzeba, że potomkowie uksiążęconego spekulanta usiłowali z powodzeniem zmyć plamy przeszłości widoczne na świeżutkiej purpurze, za pomocą ogromnych wydatków na cele dobroczynne, a dzisiejszy naczelnik rodziny, książę Aleksander, słusznie całkiem zażywa szacunku i sympatji współobywateli: atoli nie wszyscy, których papież tak wyniósł z „prochu nicości“ poczuwali się jak Torloni'owie do obowiązków, włożonych na ich barki wysokiem stanowiskiem społecznem. Nie uznali pięknej zasady: „noblesse oblige“ i z konsekwencją godną lepszej sprawy, pozostali wierni smutnym nałogom przeszłości. Książę de Gallese, osobistość w rzymskiem towarzystwie powszechnie poważana, zawdzięcza swoje uszlachcenie i mitrę hojności Piusa IXgo. Wprawdzie nie miljonkiem świętopietrza lub jakiem bogobojnem dziełem uzyskał łaskę papieża, nie położył także nigdy zasług około dobra stolicy apostolskiej, religji lub ludzkości, owszem bez własnego nawet przyczynienia się, — jedynie dzięki zabiegom pewnej damy, późniejszej swojej małżonki — otrzymał tytuł książęcy „de Gallese“ należący do najlepszych w heraldyce rzymskiej. Właściwie nazwisko rodowe obecnego księcia jest Ardoun, i nie wieczne miasto, ale jedno z miasteczek południowej Francji wydało go na świat boży. Z okupacyjną armią francuską przyszedł Ardoun sierżant kawalerji do Rzymu i przypadkiem został zakwaterowany w obszernym pałacu Altemps. Właścicielka pałacu była już osobą nie pierwszej młodości, co jednak nie przeszkadzało, że piękna i silna postać dwudziestokilkoletniego sierżanta znaczny wpływ wywarła na sercu i duszy owdowiałej hrabiny. Widziała go często z okien swojego salonu, jak w poczuciu obowiązkow żołnierza, oddawał się pilnie prozaicznemu czyszczeniu koni, i zrazu uczuła współczucie dla mozołów służbistego młodzieńca, potem pokochała go szczerze. Odtąd Ardoun miał szczęście nieraz być zapraszanym do hrabiny, a nawet otrzymał na mieszkanie piękny apartamencik w pałacu, bo ciągłe przebywanie w stajni otaczało go nader nieprzyjemną atmosferą. W krótkim potem czasie między pięknym sierżantem a hrabiną zawiązał się miłosny stosunek. Hrabina sprzyjała niezmiernie Ardoun'owi czy z wzajemnością — pozwolimy sobie wątpić. Opór jego stanowczy, objawiany czasami gościnnej pani domu, wzmagał coraz bardziej jej uczucia. Można twierdzić śmiało, że choć był tylko sierżantem biednym, pod żadnym warunkiem nie chciał zamienić munduru wielkiego narodu, na liberję kamerdynera hrabiny. Młodzieniec był zapewne ambitny i wierzył, że niósł w tornistrze buławę marszałkowską; a może także filut był przemyślny, i przewidywał szczęśliwe rezultaty komedji. Czy tak czy siak, dość że pozostał sierżantem, a hrabina mimo to nie przestała unosić się nad jego powierzchownością piękną i czuła się szczęśliwą, jak za pierwszych wiosen życia. Te dzieje pałacu Altemps nie długo były tajemnicą w najszerszych kołach miasta. Choć drwiono sobie i wyśmiewano cichaczem sentymentalną recydywę hrabiny, atoli w decydującej sferze, w arystokratycznych domach Rzymu nie tak bałwochwalczo kultywują cześć dla etyki, by aż głośno oburzać się miano na protektorkę Ardoun'a. Miesiące płynęły chyżo po sobie, a ulubiony sierżant był zawsze tylko sierżantem. Byłby może i do ojczyzny powrócił w tej randze gdyby nie jedna okoliczność, która posłużyła mu w następstwie do szybkiego awansu, zrazu zaś przeraziła hrabinę... Od czegóż jednak energja! Dzięki możnym wpływom i zabiegom, Ardoun otrzymał wkrótce z Francji patent na oficera, a od Watykanu tytuł księcia de Gallese, który był jednym z licznych rodowych tytułów hrabiny. Wejść w śluby dozgonne z oficerem francuskim o tak pięknem nazwisku to przecie nie mezalians! Były wprawdzie potem intrygi i przeszkody ze strony zawistnej jej szczęściu rodziny, spodziewającej się kiedyś olbrzymiego spadku, ale wszystkie przełamała silną wolą.—Książę de Gallese zrobił „znakomitą partję“; zaszczyty i honory posypały się nań obficie, ale cóż po nich gdy przestał być człowiekiem wolnym. Dość wysoka renta wyznaczona mu przez czułą małżonkę, nie wynagradzała braku majątku własnego, a brak ten coraz bardziej czuć się dawał, bo nie młoda małżonka, była pod względem finansowym niezmiernie despotyczną, i ograniczała młodego oblubieńca, jakby pupila jej pieczy powierzonego. Atoli fortuna widocznie czuwała nad swoim wybrańcem, który w obecnem położeniu o mało już nie został pośmiewiskiem rzymskiego towarzystwa. Hrabina wydając na świat potomka w kilka godzin umarła, a w drugich kilka godzin niemowlę pospieszyło za matką. Dziecko odziedziczało po matce, a po dziecku ojciec odziedziczył majątek cały, i jednym zamachem książę de Gallese stał się miljonowym panem. Teraz dopiero rozpoczęła się dlań złota era wolności, której tak długo nie używał: bogaty na wysokim szczebln społecznym objął wnet w arystokratycznem kole Rzymu pierwszorzędną rolę. Młodość i piękna powierzchowność dopomagały mu w niej bardzo skutecznie. Gdyby miał jeszcze odpowiednie wykształcenie, nie byłoby dlań nic z zaszczytów ziemskich niedostępnego, atoli wychowanie i wiedza francuskiego sierżanta nie wystarczały dla jakiejkolwiek politycznej roli, więc musiał rad nie rad zadowalać się tylko socjalną. Nie długo opłakiwał młody wdowiec stratę żony. Płeć piękna rzymskiej arystokraaji zbyt czarująca, by można wśród niej długo chować żal w sercu. Książę de Gallese nie uronił był nic dotychczas z dawnej swojej przystojności i wnet znalazł towarzyszkę życia w jednym z najpierwszych domów stolicy. Młoda i śliczna hrabianka Lezzani stanęła z nim u ołtarza, wnosząc mu w dom obok słodyczy i uroku życia, kilka miljonów posagu. Wszystko to razem spotęgowało znaczenie jego domu, i choć książę de Gallese w początkach zbyt często trącił dawnem sierżanctwem, mimo to cieszył się ogólną sympatją i poważaniem rzymskiej noblessy. Wrodzona Francuzom uprzejmość i rycerskość, zacierały korzystnie nie jedną cechę plebejską, a gdy przytem weźmiemy na uwagę piękność i pańskie koligacje młodej gospodyni domu, nie dziwna wcale, że po krótkim czasie, salony dawnego pałacu Altemps, były cenione i zawsze zapełniane towarzystwem doborowem. Nawet dyplomacja zagraniczna, jak wiadomo niezmiernie uważająca na wszystko i dość skąpa w udzielaniu się, niebawem zawitała w progach książęcych. Poseł francuski szanował w Ardoun'ie rodaka, który za granicą tak godnie reprezentował swój naród, a nawet cesarz Napoleon, dumny z olbrzymich sukcesów swojego poddanego, obdarzył go wysokim stopniem legji honorowej. To starczyło, by i kolonja cudzoziemców, bawiąca w Rzymie i będąca ważnym czynnikiem tamecznego życia towarzyskiego, oddała hołd należny uksiążęconemu sierżantowi. Atoli szczęście nie zaślepiło Ardoun'da; z rzeszy podobnych mu parwenjuszów wyróżniał się tem nader korzystnie, że na wyżynie społecznej nigdy nie zapomniał niziny z której wyszedł, i choć ze względów na obecne swoje otoczenie, nie mógł otwierać podwoi gościnnych dawnym swoim przyjaciołom, nie zapominał jednak o nich i nie odganiał przybyłych od progów swoich. Często można było widzieć, francuskich żołnierzy, jak cichaczem wśliźgali się do pałacu Altemps, a po niejakiem czasie opuszczali go z rozpromienionem obliczem. Każdego z dawnych towarzyszy wspierał Ardoun hojną ręką, a żadnego z nich pewnie nigdy nie spotkała odmowa. Tymczasem pozycja jego umacniała się coraz więcej. Nawet tacy jak Barberini, Odescalchi, Borghese, i inne umitrowanie rodziny wiecznego miasta, przełamały lody pierwsze, i z zapałem przyjęły w grono swoje księcia de Gallese. Tak Ardoun osiągnął zenit ziemskiego szczęścia i... i przekroczył go niestety. Bo nic trwałego pod słońcem — a najmniej pewnie szczęście ziemskie. Jak piorun z jasnego nieba, ugodził niespodzianie cios straszny w to ognisko długich lat roskoszy i radości, i okrył je całunem żałobnym. Piękna, młoda, kochana ogólnie hrabina Lezzani, oszalała nagle. Zdawało się jej, że duch hrabiny Altemps ścigał ją wszędzie, i po kilkakroć próbowała znaleść schronienie przed urojoną furją w nurtach Tybru. „Ona zazdrości mi szczęścia mojego!“ — woła nieszczęsna dzień i noc, i w rozgorączkowanej wyobraźni wszędzie widzi cień zmarłej hrabiny z martwem dziecięciem na ręku. Wciąż zdawało jej się że słyszy przekleństwa nieboszczki złorzeczące jej i jej dzieciom. Nieraz już, wymknąwszy się niepostrzeżenie z pałacu, przebiegała pędem ulice Rzymu z bolesnym krzykiem: „Moje dzieci, moje biedne dzieci!“ i wprost dążyła do Tybru. Snać w jego łożysku spodziewała się znaleść złagodzenie cierpień strasznych. Ta klęska złamała księcia, i choć nie brak mu prawdziwego zewsząd współczucia, ono go nie pociesza wcale. Postarzał się biedak i zmienił do niepoznania, a liczy zaledwie lat trzydzieści kilka. Zgryzota ciężka wyżarła na pięknem jego obliczu niestarte ślady, pochyliła dumną dawniej postawę, słowem z mężczyzny w kwiecie sił, zrobiła zchorzałego starca. Co gorsza, nie ma nadziei nawet by kiedyś znowu dawne słońce radości dla niego zawitało, bo gdyby nawet nadludzkim wysileniom lekarzy i męża powiodło się, wyrwać biedną kobietę z objęć bolesnego obłędu, nic już nie zatrze na obojgu głęboko wyoranych śladów przebytych cierpień.

Odpowiedzi Redakcji.

M. G. Kolbuszowa. Otrzymaliśmy 5.50, a Tydzień wraz z dziełami Jeża kosztuje kwartalnie na prowincji 6 złr.

T. w Tarnopolu. Premje dawaliśmy tylko z początkiem października r. z. i ktokolwiek wówczas zgłosił się, zaraz je otrzymywał. Prenumeratorowie którzy znacznie później przyszli nie otrzymują premji. Anglicy mówią że „czas to pieniądz“ i nam też bardzo wiele na tem zależy aby prenumerata w czas wpływała, gdyż opóźnianie utrudnia wydawnictwu rozwój.

Panu N. w L. Masz pan zupełną słuszność: Karol, zwany Wielkim, nie nazywał się Karlomanem, ale miał brata tego nazwiska. Autor „Miscellaneum“ nazywa go tak, uwiedziony francuską formą: Charlemagne, która nie ma nic wspólnego z germańskiem imieniem Karlman, albo Karloman, ale jest tylko archaizmem, równie jak np. Charles-Quint, zamiast Charles Cing.

Treść Nr. 8.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).